Nr 29 (1591) Warszawa, 22 lipca 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Hymny i zgrzyty.

Na „wszechsłowiańskim“ kongresie prasy wBiałogrodzie, gdzie znaleźli się też dwaj przygodni „przedstawiciele“ naszego dziennikarstwa w osobie: pp. Stasiaka i Królikowskiego, wywiązał się zatarg polsko-rosyjski, o którym ukazały się w pismach sążniste, lecz bałamutne i sprzeczne relacje.

Nie wdając się w szczegóły zajścia, poprzestać można na stwierdzeniu, że sympatje polskie na zjeździe w Białogrodzie wespół z wykonaniem (podobno) naszego hymnu narodowego rozpętały burzę wściekłości w pewnym specyficznym odłamie prasy rosyjskiej, na czele którego stoją pp. Wergun, Baszmakow, Filewicz i Kułakowskij ..

W chwili, kiedy *Nowoje Wremia* pisze o zajściu stylem feldfebla dońskich kozaków, godzi się zaznaczyć, że wykonanie hymnu polskiego na zjeździe wszechsłowiańskim bynajmniej nie jest „bezwstydem“ w oczach normalnego człowieka, lecz rzeczą zupełnie naturalną, zwłaszcza w atmosferze „równości" i „braterstwa“, która, co prawda, w oficynach *Now. Wremi* przypomina zaduch kordegardy.

Tym mniej można winić polaków za ten objaw sympatji serbskich, że się o niego wcale nie ubiegali, trzymając się na uboczu od obchodów solidarności plemiennej, urządzanych pod egidą sfer wybitnie polakożerczych.

Wiemy też doskonale, że rzekomy „spisek polski" ku pohańbieniu delegacji rosyjskiej wylągł się we wspomnianej oficynie, wiemy, że objaw—dość nawet nieoczekiwany—sympatji dla sprawy polskiej ze strony Serbów był spontaniczny i szczery; stąd można wnosić, że gdyby naszą sprawę planowo zorganizowano i metodycznie poparto na widowni zachodniej i południowej słowiańszczyzny, zamiast dawać ją w ręce luzem chodzących przygodnych „dyplomatów"—toby *Nowoje Wremia* miało słuszny powód do szewskiej pasji, która jaskrawy tworzy kontrast z propagowaną przezeń idyllą słowiańską. Lecz naród polski postanowił nie brać udziału w obchodach i zjazdach tego rodzaju, gdzie rej wodzą pp. Wergun, Baszmakow, Filewicz i Kułakowskij, od których stroni wszak uczciwy odłam opinji rosyjskiej, a nawet niewybredni czescy działacze neosłowiańscy.

Postanowienie to zapadło na mocy kilkakrotnych doświadczeń i prób świeżej pamięci.

Ale ostatnie zajście dowodzi, że nigdy ten absenteizm nie jest ściśle przestrzegany, dając właśnie pole do wystąpień dorywczych i nieprzewidzianych, czego pod żadnym pozorem nie powinniśmy nadal tolerować.

Nie wolno bowiem, pod grozą szkód nieobliczalnych, wdrażać bierności i bezładnych improwizacji na miejsce zorganizowanej, celowej akcji, jaką jest wszelka polityka.

Takie bowiem zapędy samozwańczej inicjatywy należy tłumić w zarodku, bez względu na to, czy się *Now. Wremieni* podobają, lub nie. Tym bardziej staje się ten dozór potrzebny, że takie luźne „przedstawicielstwa" są wdzięcznym bardzo polem do szkodliwych, a rozmyślnych aktów *prowokacji*, z czego nasi wrogowie korzystać będą nie dziś, to jutro.

Wreszcie bez względu czy się bierze udział czy nie w naradach „słowiańskich“, niepodobna biernie tolerować popisów i giestów działaczy z oficyn *Now. Wrem.* Nie czekając, aż południowi i zachodni słowianie poznają się sami na charakterze tych żywiołów, trzeba wciąż przypominać i nalegać na to, że nie może być

mowy o porozumieniu ogólnosłowiańskim, dopóki batutę dzierżyć będą ludzie, tuczący się krzywdą polską i z pognębienia narodu naszego czyniący sobie szczeble szybkiej karjery.

Musimy z faktami w ręku ujawniać, że pp. Wergun, Filewicz, Kułakowskij najmniej są chyba powołani do tworzenia nowego współżycia, bowiem na kształt sępów—ścierwników karmią się ciałem narodów, skutych niewolą. Najmniej jest chyba powołane do przewodniczenia godom słowiańskim to czarne i żarłoczne ptactwo, którego krakanie rozlega się dziś donośnie na kresach, ogarniętych martwotą cierpienia...

Musimy zarazem wykazywać, jak ściśle i nierozdzielnie związana jest sprawa słowiańska z unormowaniem sprawy polskiej i wyzwoleniem twórczych sił kulturalnych i politycznych, dławionych w naszym kraju ku uciesze *Ostmarkenvereinu* i z materjalną korzyścią kliki zawodowych „diejatielej".

I niechaj miota się *Now. Wremia* w konwulsjach szału, niech wyczerpie do dna słownik wyzwisk z cyrkułów i koszar—nie zmieni to faktu, że wyraz POLSKA witany jest i będzie aplauzem „sympatji i miłości przez wszystkich wolność miłujących Słowian!"

I dobrze się stało, że właśnie w chwili, kiedy *Now. Wremia* obnażyło męty swoich nastrojów „słowiańskich"—naród polski w Galicji wyciąga dłoń ku zgodzie z Rusinami, czyniąc akt rozumnej ugody, która może mieć wielkie w przyszłości znaczenie.

Walka o ziemię.

(Z powodu dyskusji w sprawie wychodźtwa polskiego)

I.

Za zarobione pieniądze chłop kupuje ziemię. Bank daje trzy czwarte na lat 30. Co za pożytek ma jednak kraj z gospodarstwa źle prowadzonego; bo jego nabywca, obciążony bankowymi i prywatnymi długami nie może nic wydać na meljoracje. *Kraj nie zyskuje, gdy chłop drogo za ziemię płaci a przeciwnie, gdy nabywa ją tanio*, — pisze ks. Anusz i poniekąd ma słuszność. Wszelako uogólniając swą tezę dochodzi do fałszywych wniosków.

Nauka agrarna dziś rzeczywiście poddaje ocenom jaknajbardziej surowym ciężary kredytu nabywczego, na który w pierwszym rzędzie składa się cena kupna za ziemię zakupioną lub dokupioną.

Jeden z najlepszych znawców kwestji agrarnej, autor dwutomowej, dotąd niezastąpionej jeszcze i wyczerpującej pracy p. t.: „Agrarwesen und Agrarpolitik"[1]) *Buchenberger* stwierdza że r d z e ń k w e s t j i w ł o ś c i a ń s k i e j s t a n o w i d ą ż n o ś ć d o a n o r m a l n y c h c e n z a z i e m i ę, s k u t k i e m c z e g o t e r o s n ą n i e p o m i e r n i e p o n a d w y d a j n o ś ć d o c h o d o w ą g r u n t u.

Płynie ten powszechny fakt stąd, że chłop gospodarstwa swego nie traktuje handlowo, t. j. jako *przedsiębiorstwo*, mające mu wrócić wyłożone koszta a nadto przynieść zysk czysty.

C h ł o p n a s z z i e m i ę t r a k t u j e p r z e d e w s z y s t k i e m, j a k o w a r s z t a t p r a c y i s t ą d j e g o z d o l n o ś ć p ł a c e n i a z a n i ą c e n z g o ł a n i e p r a w d o p o d o b n y c h. Chodzi mu o trwałe zużytkowanie swej pracy i w tym celu nabywa ziemię, by nie pracować na *obcym* i by pracować *stale*. W ten sposób kalkulując „chłop może płacić absolutnie i stosunkowo wyższe ceny za ziemię", niźli np. wielki właściciel ziemski za majątek średni lub wielki, ponieważ chłop nie liczy do kosztów „przedsiębiorstwa" czynnika najważniejszego bo *robocizny*, której dostarcza sam wraz z rodziną.

Chłop nasz prawie nigdy nie oblicza, czy kapitał zakładowy [2]) oprocentuje się mu, choćby jaknajskromniej, gdy tymczasem właściciel ziemski u nas a nawet chłop zachodnio-europejski nigdy nie odstąpi od kalkulacji przedsiębiorczej, mającej mu zapewnić pewien procent od wkładów poczynionych.

W tym leży istota rzeczy i prężność, czy tendencja wzrostu u nas cen za chłopską ziemię do granic, daleko wychodzących po nad wydajność docho-

---

[1]) „System i polityka agrarna". Lipsk 2893

[2]) Patrz dr. Grabowski — Referat w sprawie parcelacji.

---

4)

F. ARNSZTAJNOWA.

LUCAÑIOLO.

Dramat w 1 akcie

(Dokończenie).

K s i ą ż e

Sztuka — wielka to pani... w poświęcane gaje,
Kędy nad Kastalijską przebywa cysterną,
Darmo sięgać śmiertelnym snadź z prośbą zuchwałą,
Nic więc pono innego dziś nam nie zostaje,
Jak prośbę zanieść korną do ziemskiej bogini,
Która połową mistrza włada pozostałą,
By dla nas w swej potędze była miłosierną
I ndzielić raczyła go na chwilę małą.

B e a t a

Wola książęcej mości jest dla nas rozkazem.

(książe daje znak ręką, świta usuwa się z głębokimi [ukłonami

B a c i o d e l B e n e

Zostać sam na sam z mistrzem jest książęcą wolą
Snadź. — Beato, pójdziemy przejść się po ogrodzie.

B e a t a

(półgłosem do Lucaniola)

Przyrzekłeś... pamiętaj... pamiętaj, Lucaniolo...
Będę się tak modliła...

(wychodzą)

K s i ą ż ę

(kładzie rękę ponfale na ramieniu Lucania i idzie z nim ku fotelowi, na którym siada)

Cóż, mój Lucanio?... cóż, mistrzu uparty?
Kiedyż nam wrócisz?... dni minęło siła,
Jakeś się odjął nam... i nie na żarty
Dusza się moja za tobą stęskniła.

L u c a n i o l o

Pośród oddanych księciu dworzan wiela,
Czyż brak jednego zaważy oblicza?

K s i ą ż ę

Zali dworaków zgraja służebnicza
Sercu zastąpić zdoła przyjaciela?
Mój Lucaniolo... wiesz, czym jesteś dla mnie...

dową gruntu. Stan ten pogarsza się jeszcze tam, gdzie rolnik *dorabia*, gdzie więc ziemia własna nie jest jego głównym i jedynym środkiem utrzymania, gdyż wtedy czerpie on fundusze na zakupno ziemi z zarobków, a płacąc za nią wygórowane ceny, liczy na swoje dochody pozarolne

Ceny za chłopską ziemię rosną wraz z pomniejszaniem się obszaru gruntu. Jest to rzecz jasna, jeśli się zważy, że popyt za parcelami morgowymi, jest nierównie większy, niżli za gospodarstwami 7—8 i więcej morgowymi, na wsi bowiem u nas mało jest już tak bogatych włościan, którzyby mogli zakupić lub dokupić tego rodzaju obszar. Mogłyby to ucznić jedynie *wielkokmiece* gospodarstwa (od 20—100 ha.) Popyt ten za małymi parcelami zwiększa jeszcze fakt prawie powszechny u nas, że chłop, któremu 3—4 morgowe gospodarstwo nie może zapewnić samoistności materjalnej, a który jak w Galicji, często pozbawiony jest możności dorabiania w przemyśle, gotów jest wobec tego za każdą cenę *dokupić* tyle ziemi ile to jest niezbędnym dla uzyskania najmarniejszej choćby, ale przecie samoistnej gospodarczo egzystencji. W tej formie występuje ów znamienny dla stosunków agrarnych Polski g ł ó d z i e m i.

Odpływ chłopa polskiego ze wsi jest niesłychanie słaby; fakt ten jest w związku z brakiem u nas średniej i wielkokmiecej własności, która dając swym właścicielom możnośc kształcenia dzieci sprawia, że rok rocznie—na Zachodzie—ze wsi odchodzi część rodzeństwa na zawsze. A t o l i o d c h o d z i o n a d o s w o i c h, z o s t a j e w k r a j u, j a k o l u d n o ś ć p r z e m y s ł o w a, h a n d l o w a, n t e l i g e n c j a z a w o d o w a, to jest wielce różne od planu emigracji stałej za morzem chłopstwa polskiego, które w ten sposób przepada dla ziemi i kraju, pomnażając zasoby obcych kultur.

Wreszcie na wzrost cen na ziemię polską działa fakt, czy nie najważniejszy, że u nas chłop o wiele częściej *dokupuje* ziemi, niż ją jako bezrolny zakupuje.

Jest to bardzo ważnym w kalkulacji chłopskiej. Dokupując ziemi, do istniejącego, własnego gospodarstwa chłop liczy się z tym, że ziemię nowodokupioną potrafi uprawiać tym samym sprzężajem, narzędziem, tą samą przedewszystkim robocizną: to sprawia, że za dokupioną ziemię płaci chlop znowu więcej, niżliby to wyniosło ze zwyczajnego obliczenia biorąc za podstawę *brutto* dochodu, a nie *netto*. Jak dalece sięga u nas *dokupno* ziemi, świadczy fakt, iż wedle obliczeń ankiety z r. 1904 Banku krajowego we Lwowie od r. 1898 do r 1904 zaledwie 20.6 proc. ziemi rozparcelowanej poszło na tworzenie *nowych osad* włościańskich, prof. Grabski zmniejsza ten procent na 15 proc. tak, iż reszta, przeszło 80 proc. idzie na parcelację sąsiedzką

(W Królestwie rzecz ma się przeciwnie w tej mierze, w r. 1902 np. przeszło 80 proc. ziemi rozparcelowanej poszło na tworzenie nowych osad gospodarczych.)

Ceny na ziemię, — tak wygórowane, same przez się jednakże, nie zniszczyłyby chłopa, który właśnie dlatego, że traktuje ziemię— jako warsztat pracy, może istotnie więcej płacić, nizliby to wypadało z obliczeń przedsiębiorcy; atoli niszczy go niewątpliwie, a przynajmniej zniszczyć może *spekulacja* parcelacyjna, która wyzyskuje niemiłosiernie psychologiczne i gospodarcze momenty, każące chłopu przepłacać ziemię aż do ruiny majątkowej.

Gdyby tej spekulacji nie było, gdyby *chłop*, stykał się bezpośrednio z parcelującym majątek *obywatelem* ziemskim, parcelacja rozwijałaby się w warunkach normalnych; ciężary kredytu nabywczego, nie przechodziłyby gospodarczych sił, a gospodarstwo społeczne zyskałoby tę niewątpliwą zdobycz, że chłop polski pomnażałby statecznie swój stan posiadania w ziemi, wedle wymagań polityki agrarnej. Ta ostatnia jednakże idzie dalej, żądając od kraju utworzenia instytucji *pnblicznej*, pośredniczącej między obywatelstwem, parcelującym majątki a chłopstwem, nabywającem ziemię, którąby miała za zadanie parcelację przeprowadzić w takim duchu, iżby prócz osobistych interesów stron, uwzględniana była też kultura kraju.

Jak dalece rozwinęła się u nas spekulacja prywatna, świadczy fakt, iż wedle d-ra Grabskiego z rozparcelowanych w r. 1909 majątków (w Tow. Kred. Ziemskim) *ani jeden* nie był parcelowany przez właścicieli, lecz wszystkie przez nowo-nabywców, t. j. spekulantów, którzy w tym celu nabyli ziemię od dawnego właściciela, aby ją następnie rozparcelować z możliwie wielkim zyskiem, na możliwie małe skrawki gruntu między chłopstwo.

. D. N.

Duszę-m ci swoją otworzył na ścieżaj.
Wiesz, jakie dumy, jakie sny w niej gorą...
Nieraz w omdleniu byłeś mi podporą...
Gdy ćma służalcza każdy krok mój kłamnie
W obłudnych pochwał zdobi wieńce, wierzaj,
Że jak zdrój życia piję prawd wyrazy
Z twych ust, co kłamstwa nie zaznały zmazy.

L u c a n i o l o

(z goryczą)

Są prawdy, które przez ust żadnych wrota
Nie przejdą... wargi przed nimi się kurczą...
W głąb duszy pchnięte, zdrój w kałużę błota
Zmienią i śliną zatrują jaszczurczą.

K s i ą ż e

Zkąd ci, to, Luco?... co cię tak odmienia,
Że z ust twych dla mnie płyną te gorycze?

L u c a n i o l o

Niech książę spyta swojego sumienia

K s i ą ż ę

(dumnie)

Nigdym mu kłamu nie zadawał czynem.

L u c a n i o l o

Zasię książętom i sumienie schlebia.

K s i ą ż ę

O nie, Lucanio... ale inną miarę
Do czynów władcy przykładać potrzeba,
Który podpierać musi tronu stropy
I przyszłość państwa zawsze mieć na względzie...
Nieraz z swych uczuć czynimy ofiarę...
Co dla szarego tłumu jest zbrodnicze,
Skroń władcy może uwieńczy wawrzynem,
I wdzięczną pamięć kraju dlań zdobędzie.

(wstaje i idzie wgłąb ku zakrytej płótnem grupie)

Mój Luco... kiedyś, gdy mnie już nie stanie,
I twoje w ziemi próchnieć będą kości,
Lud przyjdzie patrzeć na to mauzoleum,
W którym cudowną mocą twego dłuta
Pamięć mych czynów żyć będzie zakuta
Twoje i moje imię zmartwychwstanie,
Jak gwiazdy bliźnie świecąc potomności;

(podnosi pokrycie)

Lecz cóż to?... widzę, nic tu nie przybyło.
Czemuż to?... powiedz... tak że lekceważy
Luco najdroższe mej duszy życzenia?

Listy z Galicji.

XI.

Stronnictwa ruskie po wyborach. — Szanse ugody polsko-ruskiej. Kanały. — Fronda podolska. — Nowy prezes Koła Polskiego.

Kandydaci ruscy otrzymali w ostatniej kampanji wyborczej mniej nieco głosów niż poprzednio. Partja staro-ruska (umiarkowanie moskalofilska) utraciła wszystkie trzy mandaty jakie posiadała, skrajni moskalofile utrzymali dwa mandaty, jeden z ich posłów jednak nie jest pewny, i być może opuści ich szeregi. Obecnie będą w parlamencie trzy kluby ukraińskie, narodowo-demokratyczny, radykalny i bukowiński; działać jednak będą naogół solidarnie. Ukraińcy galicyjscy zyskali parę mandatów.

Moskalofile mogą wstąpić do jednej z grup czeskich w parlamencie. Szanse ugody polsko-ruskiej są obecnie większe niż poprzednio. Polskie Stronnictwo Postępowe występuje za nią otwarcie, również stronnictwo ludowe; inne zaś jak demokratyczne i konserwatywne (zachodnio-galicyjskie) skłaniają się ku niej. Przeciwko jakimkolwiek ustępstwom na rzecz Rusinów występują tylko narodowo-demokraci i podolacy (konserwatyści wschodnio-galicyjscy). Ugoda w całej pełni może być zawarta tylko w sejmie, jednakże aby ją przygotować należy, aby Koło Polskie poparło w parlamencie sprawę uniwersytetu ruskiego we Lwowie.

W kołach ruskich zapanował prąd ku zgodzie z Polakami, społeczeństwo nasze powinno z tego skorzystać i dać dowód że pragnie istotnie zgody z Rusinami.

Narazie chodzi im o dwie sprawy: 1) o założenie we Lwowie uniwersytetu, 2) o demokratyczną reformę wyborczą do sejmu, zapewniającą im pewien wpływ na sprawy krajowe. Niedawno zorganizowała się chrześcijańska partja rusińska p. Barwińskiego, naturalnie konserwatywna bez wyraźnej barwy.

Nowy gabinet bar. Gautscha z samego już początku zajął wobec kwestji kanałów stanowisko przychylniejsze od bar. Bienertha. Najpierw ma być przeprowadzony, w ciągu 10 do 12 lat, wewnętrzny kanał galicyjski, sprawa kanału Dunaj — Wisła nie jest natomiast rozstrzygnięta całkowicie. Roboty około kanału galicyjskiego rozpoczną się na linji Kraków — Oświęcim.

Prasa narodowo-demokratyczna twierdziła ciągle, że akcja namiestnika Bobrzyńskiego ma na celu zapewnienie takiego składu Koła Polskiego, któryby umożliwił pogrzebanie sprawy kanałów. Fakty zaprzeczyły już tej wersji.

Podolacy niezadowoleni z dr. Bobrzyńskiego któremu przypisują upadek prof. Starzyńskiego przy wyborach, frondują wraz z narodową demokracją przeciwko niemu, biorąc udział z jej przedstawicielami w różnych zebraniach i manifestacjach. Zarazem starają się, łącznie z nią, uniemożliwiać akcję ugodową z Rusinami. W nowym Kole Polskim, którego prezesem został dr. Leon Biliński, tak zwany blok namiestnikowski stanowi większość dość silną aby sparaliżować akcję podolaków i narodowych demokratów.

Wybranie prezesem Koła dr. Bilińskiego wzmocniło znacznie stanowisko dr. Bobrzyńskiego i ułatwi zawarcie ugody polsko-ruskiej. Natrafi ona jednak w sejmie na poważne przeszkody. Obecny skład sejmu jest niekorzystny dla wszelkich poważniejszych reform. Najodpowiedniejszym wyjściem byłoby rozwiązanie obecnego sejmu i zwołanie nowego dla przeprowadzenia reformy wyborczej.

Rząd mógłby chwycić się tego środka tymbardziej, że wybory do parlamentu wykazały, że opinja publiczna nie jest po stronie nacjonalistów. Niezawadnie wybory sejmowe dałyby przewagę ludowcom, konserwatystom krakowskim i demokratom, Rusini zyskaliby także większą niż dotychczas ilość posłów.

Wątpić należy czy sejm, w obecnym swoim składzie okaże się zdolny do pracy. Rozwiązanie go więc byłoby nader pożądane. Czy rząd się na to zdecyduje? Trudno dać na to dziś odpowiedź pewną. Prawdopodobnie jednak będzie musiał tak postąpić, jeżeli się przekona, że fronda podolsko-wszechpolska w sejmie może być przeszkodą w załatwieniu reformy wyborczej.

Obecna sesja parlamentarna potrwa zapewne tylko do końca lipca.

Ludwik Kulczycki.

L u c a n i o

Wybaczcie, panie... brakło mi natchnienia...

K s i ą ż e

O Lucaniolo, mdła twa przyjaźń cale,
Jeślić na twórczym zbyć może zapale
Przed tą marmuru nieskalaną bryłą,
Co imię twoje na wieki skojarzy
Z imieniem twego księcia.

L u c a n i o l o

Mego księcia...
O tak... tyś moim był księciem, Paolo...
Książęciem książąt byłeś mi zaiste...
W duszę-m twą patrzył jak w jezioro czyste...
I rosłem w dumę, że sądzone dolą
Było mi służyć takiemu książęciu...
Gdym na twój rozkaz w drzemiące kamienie
Tchnął życie, gród ten strojąc w coraz nowe
Duszy swej twory, stawiałem ołtarze
Przyjaźni swojej... dumny, że przekażę
Twe imię przyszłych pokoleń pamięci...
Zapał unosił dłuto i natchnienie
Jak wicher moją owiewało głowę...
A dziś...

K s i ą ż e

Lucanio...

L u c a n i o l o

(z rozpaczą)

Paolo... Paolo...
O, coś uczynił z swą duszą, nieszczęsny...

K s i ą ż ę

(z rosnącym przerażeniem)

Luco...

L u c a n i o l o

Krew dziecka niewinnie przelana...
Okropność... patrz, patrz, jak sunie za tobą
Cień ten straszliwy...

(Książę z mimowolnym dreszczem ogląda się)

Ha... on na sąd Pana
Pójdzie za tobą i na czynów szale
Krwi tej niewinnej położy korale...

K s i ą ż ę

(ponuro)

Dość tego... tak się stać musiało... krew ta

Rewizje.

Nigdy Rosja nie żyła tak długo pod znakiem rewizji jak obecnie. Od Wisły aż do Amuru nieskończony szereg rewizji — pogromu wszechwładnej pani Łapówki i... pana Złodzieja. W rezultacie — dymisje i sensacyjne procesy, które wykazały, że branie łapówek to jest prawo zwyczajowe, że kto z pod tego prawa się wyłamuje, ten musi opuścić zajmowane stanowisko i poszukać sobie pracy idealniejszej. Najbardziej pouczającym jest proces intendentów w Moskwie. Wykazał on wprost bajeczne strony gospodarstw i zarazem wykrył wiele źródeł klęsk poniesionych podczas wojny japońskiej. Ludzi uczciwych którzy nie chcieli brać udziału w nadużyciach i łapówkach wprost teroryzowano. Ci zaś, którzy w poczuciu swego sumienia i uczciwości, badani przez rewidentów głosili prawdę i ujawniali nadużycia, byli za to wydalani przez swoich zwierzchników. Dowodzi to wymownie jak dalece się rozpanoszyla solidarność w nadużyciach...

Solidarność i jednomyślność jak wiadomo, w życiu buduje wspaniałe gmachy. Nigdzie jednak dzieje cywilizacji i kultury ludzkiej nie wykazały tak wspaniałych gmachów owej jedności jak w Rosji dzięki rewizjom senatorskim. Wykryto wprost cuda, na jakie nie potrafiłby się zdobyć żaden fakir indyjski. Oto z Krasnojarska korespondenci donoszą do gazet rosyjsktch, że członkowie rewizji senatora Medema wykryli fakt następujący: na stacji „Sorokino" w planach i wykazach był oznaczony wodociąg, którego wybudowanie kosztowało 40,000 rb. Przez kilka lat na naprawę tego wodociągu zarząd kolei wyasygnował 30,000 rb. Aż oto teraz członkowie rewizji nie znaleźli na miejscu wskazanym żadnego wodociągu. Jest zakłopotanie ogromne, gdzie się on podział. Stało się coś kosmicznego!

W przestworzach wszechświata istnieją gwiazdy, tak znacznie od nas odległe, że ich promienie wędrują do ziemi 70 lat. Widzimy tedy promienie gwiazd, które może skutkiem jakichś kataklizmów znikły już dawno w przestrzeni. Może się zamieniły w pyłek kosmiczny; a jednak my widzimy je wciąż jeszcze, dzięki tym promieniom, które one wysłały ku nam przed kilkudziesięciu laty.

Otóż budowniczowie wodociągu w Sorokinie muszą być dobrymi astronomami, a sam wodociąg—tą gwiazdą, jeszcze cudowniejszą od gwiazd we wszechświecie, bo oglądano przez szereg lat gwiazdę-wodociąg, której nigdy nie było i która nie tylko wysyłała promienie pod postacią planów, ale nadto, wchłaniała promienie, płynące do niej pod postacią rubli. Takich promieni gwiazda nieistniejąca pochłonęła siedemdziesiąt tysięcy! Aż oto przyszli innego rodzaju astronomowie i stwierdzili, że gwiazda była tylko złudzeniem. Nadto, wykryli oni jeszcze inne zjawisko kosmiczne. W roku ubiegłym na tej samej stacji Sorokino wybudowano dworzec kolejowy kosztem 50,000 rb. Wkrótce po skończeniu budowy rozpadły się fudamenty i piece. Administracja kolei musiała wykonać naprawę kosztem kilku tysięcy rubli. W połowie czerwca r. b. naprawa była skończona. Senator Medem wysłał siedmiu urzędników do obejrzenia tego gmachu; ale dziwnym zbiegiem wypadków w chwili, gdy urzędnicy przybyli na stację Sorokino, nowy dworzec ogarnęły płomienie i pozostał z niego pyłek kosmiczny. Z pyłkiem tym powędrowało także w przestworze około 130 tys. rb., asygnowanych na budowę i naprawę wodociągu i dworca.

Dokąd teraz powędrują twórcy tych budynków? Zapewne trochę dalej, za Krasnojarsk... Ale czy to zapobiegnie wznoszeniu nadal takich gmachów? Rewizje senatorskie i ich skutki—to operacje chirurgiczne—rozcinanie wrzodów na chorym organizmie. Ale te wrzody, to tylko jeden z objawów choroby wewnętrznej, której podłoże pozostało nietknięte. Usuwane są skutki, nie przyczyny. Pozostał ten sam grunt, na którym bujnie porastać będą łapownictwo i nadużycia wszelkie. Usuniętych, zawieszonych, skazanych na wygnanie urzędników zastąpią inni i nadal prowadzić będą to samo, co prowadzili ich poprzednicy. Rewizje senatorskie nie mogą trwać dziesiątki lat, przytym są one niezmiernie kosztowne, paraliżują działalność i tak już w połowie sparaliżowanej gospodarki; wstrzymują powolny ruch kół zardzewiałych starej maszyny.

System biurokratyczny, tamujący rozwój zdrowych pierwiastków życia, leczy się tym samym systemem biurokratycznym. Kontrolę społeczną za pośrednictwem szerokich samorządów zastąpiono kontrolą jednostek, — urzędników. „Rewizor" jest groźniejszym, niż za czasów Gogola, ale i biurokratyzm rozle-

---

Trysła nie darmo... chwiejące się węgły
Państwa podparła... i na długie lata
Tron umocniła...

Lucaniolo

Zali nie przysięgły
Twe usta ojcu w konania godzinę,
Że piersią własną osłaniać dziecinę
Będziesz i tron mu zachowasz nietknięty?
Także to dług swój wypełniłeś święty?
Hańba ci książę...

Książę

Hamuj się, Lucanio...
Mówisz do księcia swego...

Lucaniolo

Hańba tobie,
Że tak do mego księcia mówić muszę.

(Książę porywa się, jakby chciał wybuchnąć gniewem, ale po krótkiej walce zapanowawszy nad sobą mówi wyniośle)

Książę

Mój Lucaniolo, tyś artysta wielki,
Lecz państwowego ducha ni kropelki
Widzę-ś nie posiadł... trudna rządów księga
Snadź nie każdemu swe karty odsłania.
Niech więc twój rozum po tajnie nie sięga,
Których nie dorósł... czyń każdy, co zdoła.
Mnie zostaw ciężar i trud panowania,
Ty patrz, by ryły w tych marmurów łonie
Pamięć mych czynów twe natchnione dłonie:
Potomność sąd swój nad nami obwoła.

Lucaniolo

Jaż potomności twoje imię krwawe
Mam przekazywać?.. nigdy! raczej skruszę
Własnemi dłońmi czyste łono bryły,
Niżby ją takie runy pohańbiły.

(całym rozmachem młota uderza w posąg, głowa jednej postaci spada z łoskotem na podłogę)

Książę

(chwytając ramię Lucaniola)

Szaleńcze!...

(Na hałas spowodowany uderzeniem wpadają Bacio, Beata, świta, paziowie przerażeni)

Bacio del Bene

(widząc Lucaniola z młotem w ręku i trzymającego go księcia, chwyta Lucaniola za drugie ramię)

wny, panujący we wszystkich dziedzinach życia, stał się groźniejszym i bardziej zabójczym dla społeczeństwa i państwa, tembardziej, że idzie on ręka w rękę z nacjonalizmem.

W chwili, gdy całą energję zwrócono na tworzenie ziemstw do zwalczania polonizmu i polonizacji, na sprawę chełmską, na tępienie języka polskiego na kolei Wiedeńskiej i wogóle na walkę z „inorodcami" na wschodnich krańcach państwach wyrastają wodociągi i dworce. Setki tysięcy idą na nieistniejące urządzenia i roboty, miljony na walkę z „wrogami wewnętrznymi", olbrzymie sumy wydano na rewizje senatorskie, na procesy z powodu nadużyć, ale system nieśmiertelny pozostawiono ten sam, który pielęgnować będzie siły hydry wielogłowej — gospodarki biurokratycznej. Setki, tysiące razy odcinana głowa odrastać będzie i urągać wszelkiej walce z jej siłą i nieśmiertelnością.

Rewizje na razie miały dodatnie rezultaty: usunęły masową zgniliznę, jak się ją usuwa z wrzodów rakowatych za pomocą środków antyseptycznych. Zrobiono „opatrunek". Na razia tedy chory organizm musi się lepiej czuć.

Ale te same rewizje wywołały szał rewizyjny śród biurokracji ściganej. Obok rewizji jeneralnych, senatorskich są prowadzone rewizje pomniejsze, autonomiczne przez rewidowanych. Dzieje się to według zasady odwiecznej: „czyn czyna raspiekajet". Robi się według hierarchji urzędniczej: Ci, którzy mają lub mogą być rewidowani, prowadzą rewizje wstępne, ażeby przygotować grunt dla senatorskich lub wykażać swoją gorliwość i surowość. Dzieje się tylko tutaj coś wręcz przeciwnego niż przy rewizjach senatorskich, bo są rewidowani, ci którzy się wyłamali z „solidarności", a więc są niebezpiecznymi dla zsolidaryzowanych.

Jaskrawy i pełen grozy obraz tych stosunków podaje obecnie prasa rosyjska. W Ust'Sysolsku, w centrum tak zwanego kraju Żyrjańskiego piastował posadę naczelnika ziemskiego niejaki Popow, człowiek uczciwy, daleko odbiegający od typu przeciętnego urzędnika, bo miał na celu nie krępowanie życia ludności, ale przeciwnie —rozwój jego. Popow ten brał czynny udział w ziemstwie, był radnym ziemstwa powiatowego i gubernjalnego i cieszył się uznaniem ludności Kilkakrotnie proponowano mu postawienie kandydatury na prezesa zarządu ziemskiego. Na zebraniach ziemskich był on jedynym przedstawicielem opozycji. Wogóle zaś usiłował poruszyć senne życie, dodnieść siłę gospodarczą ubogiego kraju. Taka działalność urzędnika nie wszystkim była na rękę. Zaczęto więc go systematycznie szykanować i wreszcie postanowiono go zgnębić rewizją. Pewnego dnia Popow otrzymał od swego zwierzchnika, byłego kolegi szkolnego, Kratirowa, niezwykle ostre wezwanie, ażeby natychmiast zabrał z sobą wszystkie sprawy i przyjechał o 90 wiorst dla poddania się rewizji. Nakaz ten przyszedł o 1-ej w nocy. Wzburzony Popow postanowił się nie poddać rewizji. Wyniósł wszystkie papiery, wszelkie sprawy w najzupełniejszym porządku do zabudowania dalszego, a sam żywcem się spalił we własnym domu. Palę dom a ziemstwo uwalniam od płacenia premjum asekuracyjnego". Taką notatkę zostawił. Między innymi był także list do Kratirowa, w którym Popow życzy mu, ażeby prędko został wicegubernatorem. Rewizji chciał uniknąć, bo czuł, że nastąpi pomiędzy nim a zwierzchnikiem przykre starcie.

Zdaje się, że grunt do tego samobójstwa przygotowała już dawniej dławiąca atmosfera biurokratyzmu i tej nędzy dusz ludzkich, które tak dobrze scharakteryzował Czechow w jednej ze swoich nowel: „Mieluzga" („Drobiazg"). Ten właśnie drobiazg urzędniczy za pośrednictwem niecnych intryg i błota usiłuje zgnębić ludzi uczciwych, których nie znosi pośród siebie.. „Śmierć nie straszna, szczególnie, gdy nic nie przywiązuje do życia"— pisał Popow. Cóż go mogło przywiązać do życia śród padalców?

Śmierć męczeńska tego człowieka wywołała jednak silny odruch śród inteligencji w tym dalekim kącie północnym. Inteligencja miejscowa zbiera składki na pomnik dla zmarłego. Jest to protest i zarazem bezwiedny sarkazm życiowy. Pomnik dla urzędnika, który chciał być obywatelem kraju; myślał o potrzebach ludności i zdrowym rozwoju życia gospodarcze-

---

Prze Bóg!.. śmiałżeby się targnąć
Na świętą swego książęcia osobę!...

B e a t a

Panno najświętsza!...

(Lucaniolo wypuszcza z dłoni młot i ukrywa twarz w dłoniach. Świta otacza z niepokojem księcia; słychać [pojedyncze głosy)

I: Co?
II: Co się stało?

B a c i o

Książe nie raniony?

K s i ą ż ę

Uspokójcie się, proszę... nic się tu nie stało...
Zemstę tylko artysta tu wywarł nie krwawą
Nad swym posągiem... wrzawę tem czyniąc niemałą...
Śmiercią karać swe dzieła... wszak to mistrza prawo.
(śmieje się z przymusem)

B e a t a

(do Lucaniola)

Coś uczynił, nieszczęsny...
(na dźwięk jej głosu Lucaniolo drgnął, odsłania twarz [zmienioną

To rozbicie
I nasze rzczęście rozbiło na wieki...
O Lucaniolo, własną dłonią popędliwą
Skruszyłeś łączące nas złote ogniwo
I w proch starłeś me życie...
(Lucaniolo pada na fotel i ukrywa twarz w dłoniach)

K s i ą ż ę

Ale czas na nas... Mości Lucaniolo,
Wywodów jego wysłuchałem treści.
Uznaję rację która się w nich mieści...
Zaczym was, mistrzu, zgodnie z waszą wolą,
Od dalszej służby przy naszej osobie
Niniejszym zwalniam...
(wychodzi skinąwszy z lekka głową obecnym, za nim świta [i paziowie.)

B a c i o d e l B e n e

Tak pyszny nad miarę
Zawdy sam na się naprowadza karę,
Zalim nie mówił, że mu przyjdzie na to?...
Ha... dobrze mu tak... pójdźmy stąd Beato!

B e a t a

(z rozpaczą)

Ojcze!... Lucanio!...

B a c i o

(ciągnąc ją za sobą)

Precz!... nieusłuchana,
Zali i mnie chcesz pozbawić łask pana?

B e a t a

Ojcze!...

B a c i o

Precz, mówię, bo jak Bóg na niebie,
Przeklnę i na wiek się wyrzeknę ciebie.
(wypycha przed sobą Beatę, która łkając rozpaczli-

go. Był urzędnikiem, niezsolidaryzowanym z łapownictwem, nadużyciami i wyzyskiwaniem tej ludności. Za to skazał się na śmierć męczeńską a ludność wznosi mu pomnik! Piękna apoteoza walki nielicznej opozycji w świecie biurokratycznym z dławiącą siłą panującej nad ludnością biurokracji.

Zenon Pietkiewicz.

Święta obłuda.

Chwila obecna czyni nas świadkami osobliwego kontrastu: gdy w łonie sfer „ukształconych" szerzy się zanik czytelnictwa, zobojętnienie na sprawy ducha i kultury, śród ludu, przeciwnie, głód słowa drukowanego z szaloną wybucha siłą. Niestety, głód ów, ku zaspokojeniu swemu, znajdował, do lat ostatnich, jeden tylko rodzaj strawy: piśmiennictwo *dewocyjne*; w ostatnich atoli czasach przybył rodzaj nowy, który odrazu stał się groźnym dla tamtego współzawodnikiem: piśmiennictwo *kryminalne*.

„Ileż to chat wiejskich,—pisze w *Słowie* p. Kosiakiewicz,—możnaby znaleść u nas, w których nic innego się nie znajdzie do czytania, oprócz Modlitewnika i—Sherlocka Holmes'a". Pobożny autor pociesza się wprawdzie i otuchę czerpie stąd, że „wszędzie tam, gdzie ten egzotyczny gość zawita pod polską strzechę, już—chwała Bogu—zastanie"... jakiś *Złoty Ołtarzyk*, jakiś *Żywot świętej Genowefy*, albo *Pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego*, lub, w ostateczności, przynajmniej *Echo Trąby Ostatecznej*. Wszelako niebawem okazuje się, że otucha ta jest płonna: bo „pomyślmy tylko — orjentuje się nasz pocieszyciel,—że modlitewnik bierze się raz na tydzień do ręki, a pomysłowe złodziejstwa Lupina czyta się, przez całą zimę przynajmniej, dzień w dzień". [1])

Istotnie, orgja i rozpasanie drukowanego słowa, w postaci przeróżnych opowieści sensacyjnych, nie jest objawem sporadycznym: wzmaga się ono, rozpowszechnia i zalewa już kraj cały, przybierając rozmiary prawdziwej katastrofy. Dowiadujemy się zarazem, że orgja owa stała się przedmiotem spekulacji, przebiegle zorganizowanej jako handlowe, zarobkowe przedsiębiorstwo; że te „plugastwa, szczepiące przeróżne jady w duszę ludu, rozchodzą się w olrzymiej ilości. Jeżeli nie można rozpowszechnić wydawnictwa w 100 tysiącach egzemplarzy, to się nie opłaci do niego przystępować".

Aby ogarnąć rozmiary tej klęski społecznej, *Słowo* każe nam uprzytomnić sobie, że w tak wielkiej liczbie nie weszły w lud dotychczas największe arcydzieła naszej literatury. Ani „Pan Tadeusz", ani „Ogniem i mieczem" nie osiągnęły jeszcze tej oszałamiającej cyfry wydawniczej, jaką bez trudu obecnie, dzięki energicznej kolporterji, osiąga jakiś fabrykant kuźnicy sensacyjnej.

Przeciwko tej właśnie „klęsce społecznej", przeciwko tej „zarazie moralnej" powstaje i zbroi się z pośpiechem opinja: naprzód wystąpił *Świat*—tygodnik pod redakcją p. Krzywoszewskiego; ten sam „*Świat*", który żyje i oddycha sensacją, który nie pomija żadnej sposobności, aby na kartach swych utrwalić wizerunki wszystkich samobójców, morderców, głośnych defraudantów, karciarzy cudzołożników i cudzołożnic; który „sensację", czyli stopień zaiteresowania się gawiedzi, poczytuje za ostateczną miarę wszechrzeczy, i miarą tą strychując wszelkie zjawiska i postaci, sławi zarówno bary jak świątynie, poetów jak i rzezimieszków, reklamując jednym tchem westalki i hetery, a mopsów umieszczając obok kardynałów. Powie ktoś: nie należy ganić w piśmie aktualności! *ideałem* każdego pisma jest *żywotność*! — Zgoda. Lecz jakże to *Świat* ideał swój realizuje? Spójrzmy, w jakich zjawiwiskach realizuje się dlań *żywotność*?—Przytoczę przykład jeden, lecz typowy. Stanisław Brzozowski, zanim podpadł strasznemu oskarżeniu o zdradę swej partji, był człowiem w literaturze wybitnym, pracownikiem cenionym; szły za nim tysiące młodzieży, której on otwierał oczy na widnokręgi Europy. Wówczas *Świat* o nim milczał. Człowiek oddany pracy, oddany nauce, człowiek, który nikogo nie okradł, nikogo nie

[1]) Patrz „*Słowo*" d. 16 Lipca r. b.: *Literatura sensacyjna.*

---

wie wyciąga ręce do Lucaniola. Po ich wyjsciu chwila [milczenia.

Lucaniolo siedzi zgnębiony ukrywszy twarz w dłoniach. Bocznymi drzwiami wchodzi Fiametta, rozgląda się wkoło, poczym na palcach dochodzi do Lucania, w pewnym oddaleniu zatrzymuje się nieśmiało.)

F i a m m e t t a

(zcicha)

Mistrzu...

(głośniej)

mistrzu Lucanio!...

L u c a n i o l o

(podnosi zwolna głowę i patrzy na nią błędnem [okiem

Co to?...

F i a m m e t t a

(z przestrachem)

Wyście chorzy...

(Lucaniolo zapada znowu w swoją ponurą zadumę. Fiametta chwilę przygląda mu się z niepokojem, poczym [znów nieśmiało)

F i a m e t t a

Mistrzu...

L u c a n i o l o

(budząc się z zadumy)

Chcesz czego, dziecię?...

F i a m e t t a

Nic, nic, panie, tylko...
Chciałam wam... proszę, wybaczcie mi panie,
Chciałam przypomnieć wam, że na wybrzeżu
Rybackiem, gdzieście spoczęli przed laty,
Zdrowie wam, mistrzu, służyło niezgorzej...
I że tam zawsze wśród rybackiej chaty
Miejsce was czeka niezajęte, panie,
I serca wierne na wasze spotkanie
Radością biją...

L u c a n i o l o

(ujmuje jej dłonie)

Dziecko kryształowe!...

(Fiametta klęka u jego stóp i przyciska do ust jego rękę, on drugą rękę kładzie na jej głowie)

Ani wiesz, jak mię dziś nęci twa chata,
Uścisk tych grubych spracowanych dłoni,
I szczere serca wasze... jak mi trzeba
Wolnej przestrzeni, gdzie nie kryją nieba
Dumnych pałaców mury pozłociste,
I tchu bezkresnej, życiodajnej toni...
O morze modre — w twojej słonej fali
Niechaj zbłąkaną znów zanurzę głowę...
Niechaj obmyją wody twe przeczyste
Duszę artysty, którą pokalali
Krwawem dotknięciem wielcy tego świata!

KONIEC.

zaprzedał!—ah! to takie pospolite, takie nieciekawe, takie niegodne uwagi. Dopiero, gdy okrzyknięty został za szpiega, gdy stanął w „aureoli“ zbrodni, dopiero wtedy tryumfalnie otworzyły się dlań karty najpopopularniejszej naszej ilustracji. Brzozowski nie był dla niej dość *żywotny*, jako myśliciel i jako poeta, stał się *żywotny* dopiero, jako zbrodniarz.

Tuż wślad za *Światem* wyniosła na rynek publiczny swój „święty gniew“—gniew narodu— *Gazeta Warszawska*. I ona oburza się przeciwko pornografji, przeciwko zarazie wydawnictw sensacyjnych; oburza się głośno, ostensacyjnie, oburza się po obywatelsku i uroczyście. Wszakże to *Gazeta Warszawska*, razu pewnego, uniesiona szczytną ideą ascezy, odesłała do lupanaru Stefana Żeromskiego wraz z całą jego twórczością. Było to przed trzema laty. Nie wiem, czy dziś konfiskata *moralna* dzieł Żeromskiego uchylona już została; to pewna, że organ ów zwalcza literaturę sensacyjną z coraz rosnącą siłą. Wprawdzie Narodowa Demokrauja, której *Gazeta Warszawska* służy, stale opierała swą władzę na demagogji, czyli hypnozie frazesu; wprawdzie, wojując frazesem, odzierała lud z poczucia rzeczywistości, a tępiąc w masach społecznych krytycyzm i otwierając dostęp wolny wszelkim fan*ta*stycznym urojeniom, budziła w umysłowości ludu te *właśnie* struny, na których grają dzisiaj swojscy Holmesi i swojscy Pinkertoni. Ale cóż to znaczy? —Dla celów własnych, a tymbardziej dla celów ojczyzny, wyzyskiwać należy najniższe nawet instynkty; niedobór zaś etyczny, jaki stąd powstaje, czyli zło moralne, wynadgrodzimy dostatecznie, *potępiając* owe instynkty poziome, po należytym ich spożytkowaniu. Ze szczególną surowością potępić je należy wówczas, gdy, zbaczając z pierwotnego kierunku, poczynają szukać sobie zadowolenia gdzieindziej. Należy, mianowicie, potępiać je wówczas tak ostentacyjnie, tak po obywatelsku i tak uroczyście, jak czyni to *Gazeta Warszawska*, wyklinając dzisiaj glebę, na której krzewi się literatura sensacyjna, tę samą glebę, którą tak niedawno karmiła się jej demagogja.

I, nakoniec, do chóru oburzenia przyłącza się *Słowo*, organ elity finansowej, nie roszczący sobie bynajmniej, praw do przedstawiania ogółu, przeciwnie strzegący zazdrośnie przywilejów swego zamkniętego świata. Literatura sensacyjna gwałci i narusza tę zamkniętą w sobie wyłączność — w sposób zaiste bezceremonialny. Chce ona nieść między lud, w środowisko niedostatku i zgryzoty, to, co jest niezaprzeczoną przynależytością „wielkiego świata”, co się rodzi z nadmiaru, przepychu, z wyrafinowania i zbytku. Pan Kosiakiewicz wylicza: „Przygody romansowe, metresy, kochanki... Wiarołomstwo, cudzołóztwo, rozpusta, uwodzenie dziewcząt...„ i t. d. i t. d. — wylicza i pyta sam siebie: „Gdzież to ja jestem? czyli w atmosferze high-lif'u, czy w atmosferze opowieści sensacyjnych?” — Pyta — i nie rozpoznaje granic. Pyta i boleje nad tym, iż zepsucie czasu zaciera wszelkie granice. Zepsucie! oh, zepsucie! Któżby pomyślał, że lud od arystokracji i plutokracji zażąda swego w nim uczestnictwa, domagając się udziału w złym, i w wyobraźni zechce przeżywać to, co jedynie *zdrowo* jest przeżywać w rzeczywistości! Bo, skoro się posiada pieniądze, to *w rzeczywistości* można samemu uwodzić młode dziewczęta, albo, władając giełdą, rujnować *w rzeczywistości* setki ludzi: o t y m s i ę n i e m ó w i. Lecz, przebóg! we wszystkie dzwony uderzyć należy na trwogę, gdy ktoś te same rzeczy opisze, lub odtworzy na obrazie: bo zło zaczyna się dopiero wówczas, gdy człowiek dowiaduje się, że ktoś inny uwodzi, ktoś inny zabija i rabuje. Rozpusta może być tolerowana w dobranym kółku zamkniętego świata; rzeczą złą nie jest sama rozpusta lub rozbój, ale żądza rozpusty i rozboju, szczepiona przez literaturę sensacyjną w szerokich masach ludu. To jest dopiero choroba, to jest zaraza, trucizna, zabójstwo! — Tak rozumuje *Słowo*, i woła „Periculum in mora!„ — obwieszczając krucjatę przeciwko literaturze niemoralnej.

Aczkolwiek wszyscy pragniemy, aby strawa duchowa, którą lud nasz pochłania, była czysta, zdrowa i nieskazitelna, niemniej wyrazić musimy wątpliwość co do wartości społecznej owej krucjaty: biorąc zaś sprawę szerzej, zakwestjonować wypadnie wogóle *użyteczność społeczną*, jakiekolwiek zresztą znaczenie społeczne, tego rodzaju rygorów moralnego oburzenia, jakie względem wydawnictw rozpustnych stosują nasi „Augurowie Cnoty”.

Czytelnicy wybaczą mi łaskawie, że w tym miejscu, dla wyjaśnienia swego stanowiska, posłużę się przykładem, z obcego zaczerpniętym świata [2]).

W wypadkach wielkich niebezpieczeństw: epidemji lub wojen, Rzymianie mieli zwyczaj odprawiania uroczystości, zwanej *lectisternium*, polegającej na zgotowaniu uczty dla bogów. Po klęsce Trazymeńskiej, dwunastu wielkich bogów sproszono na uroczystość. „Sześć nakryć wystawiono publicznie: pierwsze dla Jowisza oraz Junony, drugie dla Neptuna i Minerwy, trzecie dla Marsa i Wenery, czwarte dla Apollina i Djany, piąte dla Wulkana i Westy, szóste dla Merkurego i Cerery [3]). Bogów tych ugaszczano wszystkim, co jest niezbędne podczas biesiady. W ten sposób Rzymianie mniemali zapewnić sobie ich poparcie.

Mniemanie to rozważane samo w sobie, wydać się musi dość śmiesznym; posągi zaś bóstw, posadzone u stołu, zastawionego mnóstwem dań, których spożywać nie mogły, wyglądały wprost zabawnie.

Ocena powyższa byłaby zupełnie słuszna, gdyby pomieniony obrzęd miał istnienie odosobnione i niezależne, gdyby Rzymianie, dajmy na to, osaczeni przez Hannibala, poprzestali na przyrządzeniu posiłku dla swych bóstw, lub oddawaniu się innym podobnym ceremonjom.

Rzeczywistość atoli jest całkiem różna. Uroczystość formalna *lectisternium* była przejawem wiary głębokiej Rzymian, iż Miasto ich cieszy się opieką bożą. Ta zaś wiara wyrażała inne uczucia wewnętrzne, natury jeszcze głębszej, mianowicie: zaufanie bezgraniczne, pokładane przez obywateli w losach i przeznaczeniu Rzymu. Owóż historja, istotnie, wykazuje, że wielkość Rzymu powstała z czynów przez to właśnie uczucie natchnionych.

Co więcej, w okresie, gdy wszelka wiara w bogów Panteonu rzymskiego znikła już doszczętnie, poczucie wielkości Rzymu było jedną z potęg, utrzymujących jednolitość państwa. Nastał wreszcie moment, w którym uczucie to służyło już tylko za natchnienie błyskotliwym poetom do tworzenia wierszy. W ten czas stało się uczuciem śmiesznym. Ale wszystko, co śmieszne — ulega zagładzie; na nowo, natomiast, uczucie to odzyskało powagę, gdy, zapalając naród włoski do czynu, stało się natchnieniem Mazzinich, Garibaldich i Cavourów. W r. 1848 uczucie owo przejawiało się, być może, w postaci równie błahej, jak obrzęd *lectisternium*, jeśli rozważać je w oderwaniu od podłoża duchowego; gdy jednak weźmiemy pod uwagę żywioły głębsze, które się pod nim kryły, oraz czyny, które zeń wynikły, uczucie to nabierze wówczas znamion potęgi doniosłej, rozstrzygającej.

A teraz wróćmy do obozu naszych purytanów. Ich usta miecą żagwie płonące na głowy gorszycieli; ich wyroki nie znają pobłażania dla demoralizatorów; ich egzorcyzmy i anatemy mają wszelkie znamiona obrzędów uroczystości sakralnej, celebrowanej przed ołtarzem Cnoty. Kult cnoty—oto obrządek, w którym uczestniczą wszyscy.

---

[2]) Por. Pareto „Le mythe veztuiste”, str. 177.

[3]) Liv. XXII, 10

Wszelako same formy oraz istnienie kultu nic nam jeszcze nie mówi o jego pożyteczności społecznej. Rzeczą rozstrzygającą bywa tu ów *stan duchowy*, który w postaci kultu się przejawia, a którego kult ów bywa tylko symptomatem.

Zali prawdą jest, iż Rzymianie urastali w potęgę dzięki święceniu *lectisternium*? Nie!—Natomiast słusznym będzie twierdzenie, iż stali się potęgą dzięki czynnikom duchowym, które objawiały się, śród rozmaitych form, także w formie *lectisternium*.

Z kolei tedy zapytajmy: czy klątwy i gromy, miotane przeciwko literaturze niemoralnej, są rzeczywistą rękojmią zdrowia duchowego mas ludowych? —Odpowiedź, oczywiście, wypadnie przecząca. Postawa, taka lub inna, wobec literatury sensacyjnej—to tylko znak zewnętrzny, to tylko *symptomat* owych uczuć, w piersi naszej tkwiących, uczuć głębszych i szerszych, które istotnie zdolne są na moralność ludu oddziaływać, a które śród innych form, objawiać się mogą także w formie—wyklinania Conan-Doyleów i Pinkertonów—swojskiego chowu.

Lecz jakież są owe „głębsze i szersze“ uczucia (owe czynne i sprawcze siły, z których dopiero mogą rodzić się konsekwencje społeczne)—pod osłoną religijnego oburzenia i obywatelskiej zgrozy pana—dajmy na to—Kosiakiewicza? Czy znajdziemy tam troskę o kulturę ludu, o stan jego umysłowości, dążność do podniesienia tego stanu? Nie.—P. Kosiak. otwarcie powiada, że walkę z literaturą sensacyjną prowadzić należy za pomocą takiej samej literatury sensacyjnej, tylko zaopatrzonej, na końcu każdego tomu, w morał kaznodziejski, odpowiednio *ad usum populi* spreparowany. Z lekkim sercem przyjmuje on walkę na poziomie, stworzonym przez tych samych trucicieli ludu, których sam potępia. Nic go nie obchodzi sam typ psychiki ludowej; nie pragnie jego przebudowy, udoskonalenia; ani słowem nie zdradza chęci prześwietlenia umysłowości chłopa promieniami istotnego krytycyzmu, któryby zdołał uodpornić ją odtąd przeciwko wszelkim plugawym sensacjom z wyrodniałej wyobraźni. Przeciwnie: pan Kosiakiewicz, a wraz z nim cała redakcja *Słowa* akceptuje w zupełności dotychczasową nierozgarniętość chłopa; ona tylko do obecnej, upośledzonej jego umysłowości chce dostosować nowy artykuł zbytu. Redakcja *Słowa*, ustami p-na Kosiakiewicza, nie twierdzi bynajmniej, iż plewę, którą dotychczas lud karmiono, zastąpić należy ziarnem; nie! Ona powiada co innego: plewa może zostać i nadal,—twierdzi *Słowo*, tylko, że dotąd plewę tę maczano we krwi i w kale; my zaś podawać ją ludowi będziemy wykąpaną w święconej i, jak kryształ, czystej wodzie.

Na tym więc jedynie zmiana ma polegać. Co więcej: nieskazitelny nasz purytanin pieści się nadzieją, że z czasem „wrogów dzisiejszych powołać będzie można na sprzymierzeńców", czyli przy warsztacie Cnoty obsadzić obecnych demoralizatorów. Dziś wyrabiają i puszczają w obieg truciznę, gdyż widzą w tym zarobek. Atoli, z równą skutecznością wyrabiać będą dla ludu (siedząc przy tym samym warsztacie) likwory zbawienne, skoro w zbyciu ich, z kolei dostrzegą nadzieję zysku. Wystarcza tedy, utrzymuje pan Kosiakiewicz,—nadzieję taką w nich stworzyć. Ot, proponuje on, ogłośmy konkurs (z nagrodą bardzo sowitą) na napisanie powieści sensacyjnej, ale moralnej; głupiej, lecz podwójnie zato moralnej.

O! hypokryzjo święta! czyli naprawdę głębiny twoje są niezgruntowane, czy też tylko mienisz się odbłyskiem bezmiaru?

A więc gadziny, znikczemniałe w pogoni za haniebnym zyskiem, pismacy zwyrodniali, którzy smak kształcili w szantanach a znajomość życia przejęli od sutenerów, są w oczach p-na Kosiakiewicza osobami dość powołanymi, aby ludowi nieść ideały szlachetności, poświęcenia, pracy, umiłowania ojczyzny, przedewszystkim zaś człowieczej czci i godności?

„Tym panom przecież wszystko jedno, co sprzedawać będą!" — powiada pan Kosiakiewicz.

Tak; z pewnością, im jest wszystko jedno: „byle handel szedł!" Lecz jemu, p-nu Kosiakiewiczowi oraz redakcji *Słowa*, czyż także jest wszystko jedno, kto i co będzie sprzedawał? Więc ten sam „przedsiębiorca" sprzedawać może ludowi cnotę i zgorszenie, zależnie od tego, za który wyrób wyższą osiągnie cenę?

Jakże nizkie i upadlające mniemanie o duszy ludu i o jego godności, o jego woli i o jego myśli, mieć musi człowiek, który do pracy nad umoralnieniem jego powołuje zgraję płatnych hultajów, za rubla siejących zło, lecz za dwa ruble gotowych siać — dobro!

I, zarazem, jak płasko pojmuje zadania moralności ten, kto nie ufa sile wewnętrznego jej pędu i promieniowania, lecz uważając ją za towar trudny do zbycia, usiłuje „sprytem kupieckim" pusować ją między lud „korzystając z wyrobionych już środków kolporterji".

Atoli ewangelja ideałów społecznych nie chadza ścieżkami rachuby kupieckiej! Najhojniej nagradzane konkursy nie otworzą drogi do wnętrza duszy, do tajemnic sumienia naszego ludu.

Albowiem praca nad uprawą moralności nie jest przedsiębiorstwem handlowym.

I tośmy chcieli powiedzieć.

W. Rzymowski.

BADANIA NAUKOWE.

Człowiek i Cywilizacja.

(Nauki o cywilizacji cz. II-ga p. E. Majewskiego.)

Gdym w roku 1908 [1]) pisał obszernie o I-szej części „Nauki o cywilizacji" p. Majewskiego, zwróciłem tylko uwagę na kierunek, jaki sobie szan. autor obrał oraz na różnice, dzielące go od innych uczonych, stosujących metodę porównywania organizmu do społeczeństwa; natomiast omówiłem cokolwiek obszerniej sprawy natury bądź paleontologicznej bądź autropologicznej. W zastosowaniu do „Prolegomenów", stanowiących podstawy całej nauki, jej zawiązek, oparty przeważnie na danych ścisłych, było to zadanie najważniejsze: szło przedewszystkim o to, czy człowiek rzeczywiście przedstawia się, jako istota zupełnie odrębna od innych stworzeń świata, na czym owa odrębność polega i czemu zawdzięcza człowiek takie stanowisko w świecie zwierzęcym. Nasunęło się przytym zagadnienie starożytności rodu ludzkiego — starałem się wówczas zbić pogląd p. M, jakobyśmy zmusaeni byli duszukiwać się przodków naszych w miocenie; nie udało mi się to jednak, ponieważ p. M. i w drugiej części swej „Nauki o cywiliz." w ten sam sposób ujmuje to zagadnienie, powołując się na badania *Ameghimo* nad czaszką Diprothano platensis, które jednak (jak wykazały dowodzenia *K. Stołyhwy* i *Schwalb'ego*) bynajmniej nie przemawiają na korzyść bronionej przez p. M. starożytności. W „prolegomenach" zatym wypadało z konieczności omówić przedewszystkim sprawy czysto przyrodnicze. Tak też uczyniłem, pozostawiając ocenę poszczególnych myśli, dotyczących właściwego zagadnienia t. j. nauki o *cywilizacji*, do czasu, gdy rozwiną się one szerzej.

---

[1]) Nr. 50—51 „Prawdy".

Teraz właśnie czas potemu. To co autor w pierwszej części swego dzieła naszkicował, to rozwinął szczegółowo w *Teorji człowieka i cywilizacji.* Przedewszystkim musi więc autor, krocząc po raz obranej drodze biologicznej, zająć się sprawą życia w „Cywilizacji", chociaż z góry odmawia biologom prawa roztrzygania tej kwestji, w czym ma bezwątpienia, wiele słuszności, gdy społeczeństwo ujmujemy, jako odrębnie i bezprzykładnie w naturze stojącą całość.

Natomiast znowu nasuwa się pytanie, czy możemy mówić, będąc w zgodzie z pierwszą częścią wypowiedzianego w tomie I-szym określenia cywilizacji o „życiu" tej ostatniej — czy nie wypada raczej zastanowić się nad życiem społeczeństwa jako wytworu cywilizacji? Wówczas rozwiązanie tej sprawy w sensie dodatnim byłoby znacznie łatwiejszym, zwłaszcza za pomocą porównań biologicznych, które doprowadzają autora do tak smutnych dla biologa wyników ujemnych. Pan Majewski sam więc, utrudniwszy sobie zadanie, z dwu przeczeń wyciąga twierdzenie o istnieniu życia cywilizacji; skąd się ono jednak wzięło, tego nie stara się wyjaśnić — „cywilizacja stała się tak samo" — pisze on — „jak stał się organizm, jak komórka, dla przyczyn koniecznych i dostatecznych" (str. 44—5).

Wiemy jednak, co stanowi *causa movens* cywilizacji: jest nią, według p. Maj. *mowa*, której już w „Prolegomenach" poświęcono nader wiele miejsca, nadając jej charakter łącznika społecznego i przypisując wzrost części mózgu, fizjologicznie będących z mową w najściślejszym związku. Mowa ludzka różni się od sygnalizacji każdego innego gatunku zoologicznego tym, iż nie jest ona władzą wrodzoną, konieczną z fizjologicznego jedynie punktu widzenia, lecz konieczną socjologicznie, jest produktem zespołu, a nie jednostki, czymś ciągłym i trwałym, żyjącym nie w człowieku, a poza nim. Mowa więc w formie ruchu zewnętrznego, t. j. ruchu powietrza (wibracji) wywołuje ruch wewnętrzny u każdego osobnika; zdaje mi się jednak, że psychologiczna geneza jest właśnie wprost odwrotna, o ile bierzemy pod uwagę ludzi dorosłych, a nie dzieci, te ostatnie bowiem stanowią dopiero materjał na ludzi, który społeczeństwo potym asymiluje, przerabia na pierwiastki zróżnicowane. Zbytecznym byłoby tu omawiać obszerniej rozdziały, dowodzące niezmiernie doniosłej roli mowy; wiemy wszyscy co za znaczenie posiada ona w sprawie poznania. Natomiast nie mogę się zgodzić na twierdzenie autora, jakoby tylko ona była przenosicielką wrażeń (czuć) zmysłowych od osobnika do osobnika — do tego koniecznym jest uprzednie przeżycie ze strony każdego osobnika odpowiedniego wrażenia, przenoszonego przez mowę od osobnika drugiego — dopiero doświadczenie pozwala na wywołanie odśrodkowo powstałego czucia, które per analogiam zestawiane bywa z czuciem, wyrażonym słowami. Zresztą uwaga ta, zrobiona znowu jedynie z psychologicznego punktu widzenia, jest podrzędną, gdy ujmuje się mowę tylko jako pewną sprawę fizyczną, jako pewien fizjologiczny sposób przenoszenia wszystkiego, co można wyrazić słowami, z jednego człowieka na drugiego. Z tego stanowiska mowa jest rzeczywiście fizycznym łącznikiem pewnej całości fizycznej, a myślenie ludzkie jest wrażeniem zmysłowym. Słusznym więc do pewnego stopnia jest twierdzenie p. M., że „człowiek izolowany od innych ludzi znalazłby się w tym samym położeniu, w jakim jestestwo, obdarzone oczami znalazłoby się w jaskini zupełnie pozbawionej światła".

Mowa złożona z wyrazów jako pewnych schematów tworzy z wyrazów tych sploty myślowe, sama zaś praca myślenia jest również zwykle połączeniem owych symbolów akustycznych, jest wewnętrznym mówieniem; ale symbolika *akustyczna* nie jest jedyną formą myślenia ludzkiego, choćby z tego już względu, że głuchoniemi od urodzenia z czasem doskonale porozumiewają się i mogą osiągnąć dość znaczny rozwój umysłowy, chociaż, przypuszczalnie, nie operują symbolami akustycznymi. Sama mowa jednak, tylko jako sygnalizacja, tylko jako szereg dźwięków, nie różniłaby się od sygnalizacji każdego innego uspołecznionego zwierzęcia, gdyby w człowieku nie istniała jakaś specyjalna ze wszystkich stworzeń człowiekowi tylko właściwa zdolność rozumienia tych sygnałów. To też dopiero uciekłszy się do pomocy świadomości, możemy zrozumieć potężną rolę mowy, musimy więc bezstronnie uznać jakiś pierwiastek niezmysłowy, działający w ciele ludzkim. Z tego względu nie mogę zgodzić się z autorem, że „przekonaliśmy się łatwo, że psyche indywidualna ludzka, to tylko wynik związku podmiotów ludzkich, uwarunkowany przez wibrację — język". Zresztą sam p. M. czuje, że wyjaśnienie interfizjologiczne nie stanowi jeszcze rozwiązania kwestji, wprowadza więc nowe słowo „mens", które — o ile mogłem je pojąć — ściśle odpowiada w zastosowaniu do człowieka ewent. do społeczności, pojęciu „świadomość".

Podobnie jak w organizmie pewna, nieznana nam siła trzyma pojedyńcze komórki ciała w skupieniu, jako pewną całość, podobnie jak w komórce znowu pewna nieznana nam siła reguluje wszelkie procesy życiowe, tak w człowieku zdolność tworzenia z dźwięków symbolów pewnych skojarzeń myślowych i przyjmowania ze zrozumieniem zasłyszanych od innych osobników pewnych skojarzeń myślowych, stanowi *mens* (świadomość) człowieka. A ponieważ świadomość tego rodzaju przejawia stę tylko z udziałem społeczeństwa, przeto istnieje *mens* społeczna, której każdy człowiek jest właściwie dziełem. Z tego już widać, że *mens* nic nowego nie wnosi właściwie; ale, pojmując ją, jak powyżej, konsekwentnie przenieść powinniśmy ją na każdy organizm roślinny lub zwierzęcy, a nawet na pojedyńczą komórkę, co też zresztą p. M. czyni; nie mogąc stanąć w połowie drogi, idąc z konieczności dalej, zmuszeni będziemy wreszcie wkroczyć w tajemnice życia — stąd też jasny wniosek, że „to co nazywamy życiem w komórce jest właśnie ową mens i podstawą wszelkiej psychiki".

Pojęcie *mentis* jest zatym, jak widać, bardzo trudne do ścisłego zdefinjowania, jednak dość łatwe do zrozumienia, gdy zechcemy podstawić pod nie stare, ale dobrze zrozumiane miano: *świadomość.* Ona to stanowi źródło poznania ludzkiego, a jak p. M. chce dwa źródła poznania (jedno — to wrażliwość społeczna, dzięki której obdarzone nią jestestwa przestają być zwierzętami, a stają się jestestwami społecznymi); ona też tłumaczy, dlaczego wśród osobników ludzkich powstaje świat „intermentalny". Naturalnie, *mens* — używajmy dalej terminu Szan. Autora — będąc nieodłącznie związaną z istotą żywą, nie utożsamia się z tą ostatnią, a trwa dalej, lecz jedynie znowu w nowej istocie żywej, która rozwija się powoli z komórki rozrodczej. Te obiedwie postacie, pod którymi występuje nowa istota żywa, nie stanowią jednak w gruncie rzeczy życia, którego nie potrafią ojbaśnić przyrodnicy — nie objaśni też go z biologicznego punktu widzenia metoda, wprowadzona przez p. M. Natomiast *mens* społeczna — t. j. nieznana nam siła, która pozwala człowiekowi na uświadamianie sobie znaczenia pewnych bodźców słuchowych, zwanych *wyrazami*, lub też odpowiednich bodźców wzrokowych, gdy odczytuje człowiek wyrazy napisane — może być uważana za życie cywilizacji. Rzecz zrozumiała, że tego rodzaju termin bynajmniej nie tłumaczy znowu powstania świadomości — nie łudzi się też co do tego p. M., gdy mówi: „myśmy tylko skierowali umysły do *poszukiwania opisu* (déscription) życia na nowej drodze" — zdaje mi się jednak, że autor robił przez cały ciąg rozumowań poważne próby w celu

stworzenia pewnego określenia życia, „opis" bowiem życia może się chyba sprowadzić jedynie do opisu *objawów* życia; a w tym kierunku uczyniono już tak wiele! Zresztą, nawiasem powiedziawszy, w zastosowaniu do cywilizacji samo pojęcie *życia* może być conajwyżej używane, jako pewne analogon do pojęcia biologicznego i używane tylko dlatego, ponieważ niema innego wyrazu, który opowiadałby z socjologicznego punktu widzenia działaniu mentis.

W ten sposób kończymy ze sprawą życia w cywilizacji i przejdziemy do spraw innych, przedewszystkim zaś — do skutków sprawy interfizjologicznej, — mówienia.

(d. n.) *Dr. Stefan Sterling.*

KRYTYKA.

Stanisław Birmy-Dróbecki: **Fartuszek.** Warszawa, 1911.

Nie wiem czy to kogo obchodzi, ale czytałem nowele p. Birmy-Dróbeckiego. Przysięgam, że nigdy z tego wypadku nie zdawałbym relacji, gdyby nie to, że zaraz od samego początku czułem się bardzo zawstydzony. Bo proszę tylko zauważyć, że autor, w moim mniemaniu nieznany, z którego nazwiskiem spotykano się pierwrzy raz... aż tu czytam na wstępie: tegoż autora wyszły w języku polskim: „Przez miłość" dramat (wyczerpane) „Błędne koło" dramat (wyczerpane) Poezje tom I. (wyczerpane) „Szkice dramatyczne" (wyczerpane) „Sen cara" (wydanie trzecie) i t. d. A potym: w języku niemieckim „Der Traum meines Lebens" „Gedichte". (wyczerpane) „Gedichte und Gedankensplitter" i t. d.

Czemprędzej składam książkę i biegnę do jednego z moich przyjaciół, który zażywa opinji człowieka bardzo oczytanego. Na razie trudno mi wypowiedzieć moje obawy, gdyż taka jest natura człowieka, że nie znosi kompromitacji. Po pewnym czasie jednak zaczynam atakować.

— Cóż ty powiesz o Birmy-Dróbeckim?

— A któż to taki?

— Jakto niewiesz? Autor „Snu cara"

— Cara Dymitra? A wiem, Nowaczyński

— Ależ nie! Autor „Snu cara i „Błędnego koła"

— Zaczarowanego koła? — chcesz zapewne powiedzieć. Jest to piękna sztuka. Napisał ją Rydel.

Ależ nie! — przerwałem niezadowolony z nieporozumienia. Birmy-Dróbecki autor 12 tomów pisanych po polsku, 3-ch po niemiecku, z których każdy jest kilkakrotnie wyczerpany.

— I jak się nazywa?

— Birmy-Dróbecki

— Jak Drucki-Lubecki?

— Nie, nie! — Birmy Dróbecki! — Birmy Dróbecki! — zacząłem wołać z rozdrażnieniem.

Mój przyjaciel spojrzał na mnie badawczo i rzekł:

— Wczoraj kupiłem sobie siatkowy garnitur — chcesz zobaczyć?...

W odpowiedzi — zacząłem czytać urywek z jednego utworu znakomitego autora dzieł wyczerpanych.

„... piękna pani Kazia stała przed swym zwierciadłem nago, ale to w literalnym tego słowa znaczeniu: bez gorsetu i spódniczki, bez koszulki i pończoszek tak, jak ją Pan Bóg stworzył a matka — hrabina przed dwudziestu laty na świat wydała"...

„Już ząbki roztworzyła, usteczka rozchyliła nieco i koszulka zaczęła się z alabastrowych ramion ześlizgiwać!!..".

— Widzę, że jesteś dziś w szczególniejszym usposobieniu — rzekł mój przyjaciel. I wziąwszy z rąk moich książkę p. Birmy-Dróbeckiego wyrzucił ją za okno.

St. Kiedrzyński.

NA DOBIE.

Ostatnie motu proprio.

Polityka kościelna, która ostatnio chadzała aż nadto przestolinijnym szlakiem, zaczyna dziwne kreślić zygzaki. Po głośnej zapowiedzi oporu opłakanemu duchowi czasu (*lamentabilis aetas nostra*) po klątwach, rzuconych na modernistów i oportunistów kościelnych, powziął nagle papież pochlebne bardzo mniemanie o „duchu czasu" i stara się mu dogodzić skasowaniem pewnej ilości świąt.

Ogłoszone niedawno orędzie *de diebus festis* redukuje znacznie liczbę świąt za przykładem państw protestanckich i wolnomyślnych, a to w tym celu, by krajów katolickich nie upośledzać pod względem gospodarczym.

Merytorycznie reforma ta niewielkie ma znaczenie, zwłaszcza że pozostawiono biskupom otwartą furtkę pozwalając traktować sprawę świąt według własnego uznania,a nadto wykluczając liczne bardzo święta patronów miejscowych, z czego kler nie omieszka skorzystać w najszerszej mierze.

Natomiast zasługują na baczną bardzo uwagę motywy tego postanowienia, wyłuszczone we wstępie orędzia. Dowiadujemy się ztamtąd, że „papieże nie wahali się (!) nigdy (!) łagodzić (!) przepisów kościoła" co brzmi, jako pośrednie przyznanie dotkliwego ciężaru lub niestosowności rzeczonych „przepisów". A oto dalsze ustępy orędzia papieskiego o modernistycznym zgoła brzmieniu:

„Jakieśmy w wielu innych sprawach, ze względu na zmienione czasy, oraz warunki społeczne, uznawali za stosowne wprowadzać zmiany, tak też dziś, biorąc pod uwagę zmienione okoliczności dni naszych, poczytujemy sobie za obowiązek przekształcić odpowiednio prawo o zachowywaniu świąt.

Ze zdumiewającą szybkością przebywają dziś ludzie największe odległości — ziemię i wodę — i dzięki dużej szybkości podróży znajdują łatwy dostęp do narodów, u których liczba świąt jest znacznie mniejsza. Z drugiej zaś strony zdaje się, że stosunki handlowe i szybkie tranzakcje cierpią skutkiem zwłoki, wywołanej częstemi świętami. Zwiększająca się z dniem każdym drożyzna środków żywności jest dalszym powodem, aby nie przerywać zbyt często działalności tych, którzy w pracy swej znajdują utrzymanie.

Uwzględniając te fakty, dla dobra chrześćjańskich narodów powzięliśmy postanowienie, które wydaje nam się nader celowe, a mianowicie zmniejszyć liczbę świąt, przepisanych przez Kościół".

Nasi nieprzejednańcy w rodzaju częstochowskich „nadkatolików" gotowi stracić głowę albo podnieść sztandar buntu!.. Bowiem, jak widać, Watykan nie gorzej od znienawidzonych i wyklętych „modernistów" poczyna liczyć się ze „zmienionymi czasami", rozważać „warunki społeczne", ba! „wprowadza zmiany" w Kanonach i „przekształca prawa". Nadto, wślad za liberalnymi i radykalnymi ekonomistami troszczy się o „stosunki handlowe" i „szybkość tranzakcji" zaczym „dla dobra narodów chrześćjańskich" (które w większości wypadków same o sobie pomyślały) gotów odwołać lub zmienić własne ukazy!

Nowy ten krok Watykanu witamy z uznaniem, nie mogąc się jednak oprzeć wrażeniu, że gdyby Kurja rzymska również troszczyła się o swobodę myśli i ścisłość metod poznawczych człowieka, jak troszczy się o „szybkość tranzakcji" — toby musiała siebie samą skasować, lub choćby z gruntu odmienić.

Heroizm niewoli.

Ma naród rosyjski swoich „istinnych" związkowców, ma Francja „kamlotów królewskich". Czesi mają swoich „Sokołów", a żydzi polscy swoich „kozaków Jehowy" słusznie tak nazwanych za gorliwość w tropieniu odstępców. „Kozacy Jehowy" rządzą niepodzielnie w miastach i mieścinach, a jakie sprawują rządy, dowodzi wzmianka następujacej treści:

„W Piotrkowie po śmierci rabina, obwieszczono w sobotę w bóżnicy, w imieniu rabinów, którzy uczestniczyli w pogrzebie, następującą reprymandę: Ponieważ miasto nasze stało się bardzo grzeszne: żony spacerują ze swymi mężami (!) zupełnie jawnie, również młodzieńcy z pannami, mężatki nie noszą peruk i przez te wielkie grzechy umarł rabin (!!), przeto należy takie rzeczy tępić i t d..." Zaczęły się też zaraz „rewizje i poszukiwania grzechów", raczej grzeszków, czym się zajęli zeloci, przez lud żydowski tak trafnie zwani „kozakami Pana Boga". Między innymi, fanatycy młodego żyda, przy którym znaleziono w kieszeni gazetę, tak pobili, że jest on obecnie obłożnie chory"...

A teraz drugi fakcik, wskazujący, jak żydzi u siebie w domu pojmują zadania postępu i tolerancji:

„Przy ul. Karmelickiej w sobotę ubiegłą był otwarty sklep żydowski z owocami i wodą sodową. O godzinie 2 po poł. wszedł do sklepu członek Tow. „Ochraniaczy szabasu" i rozkazał sklep zamknąć. Właściciel nie chciał usłuchać, lecz „ochraniaczowi" przyszli z pomocą inni Żydzi i po wielkiej awanturze zmusili go do zamknięcia sklepu".

A są to może nienajjaskrawsze i nie najbardziej wybitne objawy jehowistycznego obłędu, jaki szaleje w *ghetto* bez przerwy parę tysięcy lat, czyniąc z jednej ze zdolniejszych ras ludzkich pośmiewisko kulturalnego świata.

Zaciekłość zastoju żydowskiego, potęga żydowskiej ciemnoty, heroizm starozakonnego ducha niewoli wśród ortodoksów mozaistów — to jednaz najhaniebniejszych stronic historji.

Wszakże *ghetto* z wybitnymi swymi cechami obyczajowo-religijnej odrębności jest wytworem prześladowań, wzgardy i niewoli; żydzi tę niewolę ukochali i uświęcili kultem pobożnej i niezachwianej tradycji.

W jej obronie gotowi są życie postradać, jak ciemny kulis chiński, co strzeże swego warkocza jak oka w głowie, nie wiedząc i nie chcąc pamiętać o tym, że warkocz — znamię niewoli — wprowadził w Chinach pod przymusem gardłowym ukaz najezdniczej dynastji mandżurskiej w r. 1614 naszej ery.

I dziś pobożny lud chiński stawia opór zacięty reformatorom, co chcą pozbawić głowy żółte tej ozdoby, meblując je wzamian pojęciami nowoczesnymi. Podobnie i żyd talmudysta wszczyna wrzask rozpaczliwy, gdy się go chce pozbawić chałata, tego rzekomo „narodowego" stroju, który jest przedawnionym piętnem hańbiącej niewoli...

Zaiste, większy chyba od Rosjan i Chińczyków wykazał „heroizm niewoli" ten ciemny, nieszczęsny i półgłodny żyd polski, będący formacją, zaciekłą w ślepym uporze fanatyzmu religijnego i najtrwalszego na świecie zastoju.

Gawęda na miedzy.

Obchodząc pola spotykam się na miedzy z sąsiadem, ośmiomorgowym włościaninem.

— Pochwalony.

— Pochwalony.

I wślad poszła gawęda, samo przez się, w pierwszym rzędzie o ścielącej się pod naszymi stopami umajonej nacią, szeleszczącej kłosami niwie.

A że na ogół, choć buraki nieźle podciął drutowiec, a przenicę niezgorzej uszkodziła śnieć, urodzaj zapowiada się, więc sąsiedzką gawędę kończę słowami:

— Chwalić Boga, sąsiedzie, wszystko dobrze.

Ale na to, ku wielkiemu zdziwieniu, słyszę:

— A niby wszystko, ale naprawdę, to nic.

— Jak to nic?

— Abo w tej naszej chłopskiej doli i przy pięknym plonie nic się nie odmieni.

I rozmówiliśmy się na ten przedmiot chłopskiej doli, romówili „dokumentnie" — rzeczowo, cyfrowo, a ta rozmowa daje się streścić oto w jakiej konkluzji.

Już z góry sobie, co do korca, co do rubla w sperandzie obliczył mój sąsiad włościanin. A obliczenia swe oparł na przeciętnych cyfrach, jak plonu, tak cen. Następnie wyliczył mi swe niemal wszystkie pozycje rozchodów, w których pierwsze miejsce zajmują podatki i rata bankowa—jest on bowiem kolonistą, osiadłym na parceli. Następnie idzie „procent Moszkowi", u którego siedzi w kieszeni od czasu—przed 8 laty—gdy dopożyczył „na grunt", „20 rubli siostrze, co mi wygodziła łońskiego roku". Dalej dwa chojary na obórkę, bo „bez zimę z cielakami w izbie całkiem dłużej nie wytrzymać". Buty sobie i „może chuścinę kobicie". Wślad: Nafta, sól, żelaziwo, chrust. Wreszcie „abo chrzciny, abo pogrzeb". A to wszystko razem dodawszy, choć nieduży dokup nasion, inwentarza, już, już niemal wyczerpuje tajntą sumę spodziewanego przychodu z gospodarstwa.

— A gdzież na życie?

To po większej części „obchodzi się swoim",—czyli kartoflami i krupą, chlebem i.. wodą.

Prawda, zjawiają się pod jesień „nadzwyczajne dochody"—zwózka dworskich buraków, najem do kartofli, zaoszczędzona—na swoim inwentarzu—furka słomy i t. p., ale to wszystko rzeczy nie duże i nie zmienią tego, że b u d ż e t w ł o ś c i a ń s k i w y c z e r p u j e s i ę u p r o g u o g ó l n o l u d z k i c h p o t r z e b.

A gdy w sposób jak wyżej sąsiad „związał koniec z końcem" — wtedy ja zagaduję naiwnie.

— Czegóż więc chcecie? Przeżyje się dzięki Bogu.

— Czego? a ot tego, co mają inne ludzie na świecie, bo że mają to się wi. Dziedzic przecież wiedzą dobrze i lepiej od nas, jeżdżą po świecie i czytają gazety.

— No, ale jednak czego?

— Ano panie. Mam ci ja 5 dzieci, to żeby choć jedno, tak poszło do „prawdziwej szkoły", żeby to wyrosło na człowieka. A to co? Pójdą za pare lat po ludziach i będzie się to tak marnowało, a może po ciężkiej i długiej pracy całego życia będzie myślić to samo o swoim dziecku co ja ot o nim... Choć dawniej to, proszę pana dziedzica, o tych dzieciach tak się nie myślało. Doprawdy. T e r a z s a m o t o l e z i e d o g ł o w y.

Włościanin — ojciec zamilkł, ale ja go ciągnę dalej za język.

— A jeszcze czego brak wam?

— Czego? A choćby zobaczyć trochę świata, bo już ten Garbów i Markuszów „to już żaden interes". A i zjadłby człowiek choć czasem trochę lepiej. A i chciałby co niby dowiedzić się, przeczytać. A i radby babie czymś wygodzić, bo, oj panie „kwarda jej kobica dola".

Ostatecznie, jeszcze raz sąsiad rozliczył mi: Podatek, rata, siestrze, chojary, sól, nafta, żelazo, buty, chuścina, pogrzeb... i zakonkludował:

— Chłopska dola i tyle.

A na moją uwagę, że i wśród włościan są tacy

co się dorabiają, co zwiedzają kraj, a nawet oto Czechy, co gazety otrzymują, synów, córki kształcą... usłyszałem taki dziwny zwrot:

— To tylko, panie, parszywa owca sama jedna stado całe zaraża. Ale *jeden dobrze podkarmiony baran nie doda nic sadła stadu*...

Rozmowa się urwała...

(*Ktoś ze wsi.*)

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *O spadkobierstwo po Narodowej Demokracji.* Zwróciliśmy już uwagę na to, że upadek Endecji poczytywać należy za pewien przełom w układzie organizacyjnym naszych stronnictw politycznych, ale nie można bynajmniej przypisywać mu znaczenia jakiejś przemiany epokowej w ideologji, w świadomości społecznej większości narodu. Oto, poprostu, pękły kluby zewnętrzne, ujmujące bezlicą i bezkształtną masę w pewien organizm spójny o wyraźnych funkcjach i określonych formach działania. Masa owa, stanowiąca większość społeczną, potrafi wydawać dźwięki, ale nie umie mówić; wykonywa ruchy, ale nie potrafi działać; czuje wreszcie rozmaite potrzeby swe, ale nie umie myśleć. Organizacja endecka była środkiem uzupełnienia owych trzech braków przyrodzonych: ona była mową, była myślą i chciała stać się czynem zbiorowym tej niemej, w bezwładzie pogrążonej, masy. Dziś „wysadzona z siodła", leży już poza szlakiem historycznym, skazana na zagładę. Wyzwolona zaś z jej karbów ciżba szukać już poczyna nowych organów dla swej utajonej energji. Echem owych poszukiwań jest niewątpliwie artykuł p. Czesława Jankowskiego, zamieszczony w „Kurjerze Warszawskim", tym klasycznym organie ślepej, nieogarniętej, owczej ciżby społecznej.

„Stronnictwo Demokratyczno - Narodowe, — czytamy tam, — w dotychczasowym rozumieniu ekspozytury narodu polskiego—istnieć przestało. A nietylko na gruncie Królestwa Polskiego, lecz i na widowni długoletnich tryumfów swoich, w Galicji, oraz w Poznańskim, gdzie chwilowe powodzenia Narodowej D-cji utrzymać się dłużej nie mogły".

Dalej, na łamach tegoż „Kurjera Warszawskiego" mamy ciekawą analizę psychologji endeckiej, którą warto jest przytoczyć dosłownie, gdyż reasumuje ona poniekąd opinję dzisiejszejszej większości:

„Właściwością było nie od dziś i nie od wczoraj zorganizowanej w stronnictwo polityczne wszechpolskiej Narodowej Demokracji, że usiłowała zawsze poddawać dyrektywie swej i nakazom wszelkie żywiołowe odruchy społeczeństwa naszego. Sam nawet patrjotyzm, odruch chyba w dostatecznej mierze żywiołowy i atawistyczny, wzięty został pod etykietę partyjną, nawet przypominającą, że „wzbronione jest naśladownictwo!„ Mógł istnieć w Polsce jeden tylko patrjotyzm, narodowo-demokratyczny, partyjny. Pani de Stael—wyrażał się Napoleon—mówi o cnocie tak, jakby ją sama wymyśliła. Z podobną, monopolizującą miłość Ojczyzny, zazdrością jak pani de Stael o cnocie, mówiła Nar. Dem. o patrjotyzmie. Urósłszy w znaczenie i liczebność zagarnęła dla siebie wyłączne prawo czynienia w kraju — wszelkiego nastroju politycznego i społecznego. Narodowa Demokracja stała się owym wielkim augurem, nie wahającym się obwieszczać światu podczas ulewy: „Ja rozkazałem deszczowi padać!"—a gdy nastała pogoda, oświadczającym z równą pewnością siebie: „Moje to dzieło!" I oto —lat temu kilka—stał się tu u nas odruch żywiołowy ogromnej większości społeczeństwa: bojkot szkolny. Z łatwością pokrywa ów odruch Narodowa Demokracja sztandarem swoim partyjnym. Nie omieszkała zawołać, jak Jozue na słońce: „Bojkocie stań się!" W oszałamiających emocjach chwili nie spostrzeżono się, że bojkot już istniał żywiołowo... w duszach polskich i że majestatyczne p[illegible]e oraz augurowy nakaz Narodowej Demokracji rozległ się jak grzmot—po spadłym już piorunie. I przez długich szereg miesięcy, przez lata całe, trwał bojkot,—zawsze pod etykietą N. D.—aż zaczął słabnąć. Sam duch czasu oraz pamiętny zwrot w życiu naszem całem wywołały bojkot szkolny, zmienione warunki całego życia naszego oraz najrealniejsze w świecie przyczyny rozprzęgały bojkot i nakazywały mu powoli ustawać. Narodowa Demokracja, a raczej prawica już jej tylko, wierna tradycjom partyjnym, spostrzegłszy objawy tego ruchu, uważała, iż interes partyjny nakazuje: opanować ów ruch... nowym augurowym nakazem: „Bojkocie, ustań!" Tym razem atoli społeczeństwo, wolne od podniecenia z lat ubiegłych, przyłapało Narodową Demokrację *in flagranti*... prorokowania lub nakazywania tego, co się powoli faktem stawało. Manewr taktyczny spalił na panewce, a całkiem zbyteczna sankcja, udzielona przez stronnictwo, z którego dawnej rozciągłości pozostał jeno tytuł dawny, wywołała zamiast wyrównania sprawy bojkotowej—rozdrażnienie. Wywołała nietylko rozdrażnienie: dmuchała w przygasające iskry; na zabliźniającą się ranę położyła rzekomy „balsam" tak najzupełniej zbyteczny, jak naciskanie gojącej się rany przez lekarza, może bardzo gorliwego, ale nie mającego pojęcia o kunszcie leczenia."

Domyślamy się łatwo, z jaką rozkoszą wewnętrzną zwolennicy „Kurjera Warszawskiego" czytają dzisiaj te cięte, przenikliwe, a dowcipne uwagi utalentowanego publicysty, który wychyliwszy się z obozu ugodowców, wystąpił na łamach „Kurjera" tylko gościnnie, aby dać świadectwo „prawdzie". A przecież ci sami czytelnicy przed pięciu laty, w okresie wyborczym, nie posiadali się z zachwytu nad dzielnością polityki endeckiej; przecież to są ci sami ludzie, którzy wówczas, na widok przejeżdżającej karety p. Dmowskiego wyrzucali kapelusze swe w górę, krzycząc „Vivat!" i zasypując go kwiatami. Co się od tej pory zmieniło? Nie zmieniło się oblicze Endecji, gdyż charakterystykę jej, na jaką zdobywa się obecnie p. Jankowski, myśmy dali już wówczas. Szalbierstwo, którego dopuszcza się ona, uchwalając zniesienie „bojkotu szkolnego" jest takim samym szalbierstwem, jak to, którego dopuściła się przed pięciu laty, usilując opanować ów bojkot. Nie zmieniły się przeto metody Endecji, i nie uległa zasadniczym przeobrażeniom świadomość społeczeństwa. Przyrost kultury w masach odbywa się powoli; najmniejszą nawet zdobycz okupywać trzeba na tej drodze kosztem długotrwałych wysiłków. Narodowa Demokracja ginie nie wskutek jakiejś głęboko zarysowanej różnicy, dzielącej poglądy jej od poglądów większości społecznej, ale wskutek fatalnego manewru taktycznego. Wykoleiła się z szyn przypadkowo, nie zaś na zasadzie konieczności matematycznej. Dość jeszcze, niestety, w kraju naszym pozostaje stęchlizny moralnej, nieuctwa, warcholstwa i żądzy przewodzenia nad innymi krzykiem i frazesem, aby nie tylko miała czym żyć stara Endecja, ale bodaj, kto wie, czy nie są to czynniki dość silne, aby do życia powołać jakąś Endecję nową. To też końcowe nawoływania p. Jankowskiego ku podjęciu na szeroką skalę usiłowań organizacyjnych, celem zagarnięcia spadku po Narodowej Demokracji i stworzenia nowej budowy politycznej, spotykamy z ciekawością i nawet bez niechęci, gdyż zróżnicowanie żywiołów społecznych, bądź co bądź, lepsze jest od chaosu,—atoli nie żywimy złudzeń żadnych co do wyników ostatecznych tej krystalizacji: z największej bryły miedzi nie podobna wytopić ani kropli złota. Nasz zaś ogół, w swych pokładach szerokich, stoi kulturalnie zbyt jeszcze nizko, aby zdawać sobie sprawę z rzeczywistych zadań rozwoju społecznego i pracę dla narodu uzgodnić z pracą dla cywilizacji. Świadomość ta przenika zaledwie do jednostek, ożywia zaledwie nieliczne ośrodki ideowe. Zadaniem naszym, zadaniem i obowiązkiem postępu, jest szeregi jednostek owych pomnażać, ośrodki zaś zbiorowej pracy kulturalnej nieustannie potęgować i, przez wspólność działania, podnosić wydajność pracy.

* A oto w jaki sposób oświetla rozbicie obozu Narodowej Demagogji organ innej demagogji, na skrajnej pasożytującej lewicy: „Demokracja Narodowa, —prorokuje jakiś p. Warszawski czy Berdyczowski,—zginie jedynie z rąk klasy robotniczej, zdobywającej w walce wolność... Jedyną warstwą, która z natury swych interesów klasowych stoi w zupełnej zasadniczej sprzeczności z Endecją, jest proletarjat"... i t. d. i t. d. Są to bardzo ładne zdania, szkoda tylko, że nie dorobiono do nich muzyki: w takim bowiem razie, odśpiewywane, jako kuplety, zyskałyby stokroć większe powodzenie. W takiej zaś, w jakiej są, postaci nie mogą stłumić odruchowo cisnącego się pytania, dlaczego ludzie obsługujący maszyny parowe lub warsztaty tkackie, mają być w wyższym stopniu powołani do rozstrzygania zagadnień społecznych, niźli, dajmy na to, pracownicy obsługujący redakcję „Trybuny", „Młota", albo „Naszej Sprawy", czy jakiejkolwiek wogóle grupy inteligenckiej, pracującej na polu społecznym? Wszak nie kto inny, tylko spokrewniony z nimi marksista Warszawski przyznaje, że robotnicy polscy dotychczas ulegają „otumanieniu", że dotychczas „dają się wodzić na pasku frazesów narodowo - demokratycznych", oraz, że trzeba czasu na to, aby kiedyś „kopnęli tę partję oszustwa narodowego". Oczywiście brak jest ludowi roboczemu krytycyzmu, brak mu orjentacji umysłowej. Czyli krytycyzm ów wzrośnie przez elementarne zastąpienie frazesu narodowo-demokratycznego przez frazes społeczno-demokratyczny?—wątpić należy. Cywilizacja współczesna wyszła już z okresu fatyszyzmu, przywiązującego działania tajemnicze—do wyrazów.

Endecja wieściła poslannictwo i bezgraniczną potęgę „instynktu" narodowego; marksizm z kolei głosi, z niemniejszym zapałem, doniosłość i zbawczość „instynktu" klasowego; wogóle nie brakło u nas nigdy placówek, które za cel stawiły sobie egzaltować uczucia ludu i instynkty. Jest to nawet jeden z ulubionych sportów politykujących młodzieńców i przekornych pensjonarek. Skoro się jednak tyle czyni dla budzenia śród ludu roboczego instynktów oraz sentymentów, może nie od rzeczy byłoby, nareszcie pomyśleć i o uprawie jego rozumu. Wszak zdaniem jednego z najgłębszych naszych znawców marksizmu, intelekt jest dziś w Polsce jedynym, prawdziwie wielkim, męczennikiem.

* Wedle doniesień *Głosu Płockiego* finansiści żydowscy we Włocławku rozwinęli gorączkową akcję celem wykupienia domów, położonych przy głównych ulicach tego miasta. Już obecnie żydzi wykupili tam prawie wszystkie domy w handlowej dzielnicy przy ul. Nowej, płacąc ceny względnie wysokie. Stołeczne i prowincjonalne organy prasy antysemickiej jęły z tego powodu biadać nad grozą „zabiegliwości" żydowskiej, przewidując, iż chęć nabywania domów i nieruchomości przez żydów wypływa z zamiaru zabezpieczenia sobie przez tych-że prawa wyłącznego handlu w pomienionych dzielnicach.

„Rozwój handlu i przemysłu polskiego w kraju naszym—pisze *Głos Płocki*—jest bardzo niechętnie widziany przez obywateli wyznania mojżeszowego, którzy się uważają za wyłącznych monopolistów w tej branży. Ażeby więc uniemożebnić akcyę społeczeństwa polskiego w kierunku rozwoju własnego handlu i przemysłu, żydzi porozumieli się i postanowili działać w miastach solidarniej, według ściśle określonego planu, który stopniowo w ciągu szeregu lat ma być przez nich wykonany. Na najbardziej ruchliwych ulicach miast naszych, jaknajwięcej domów ma być wykupionych przez żydów za jakąbądź cenę, chociażby nawet wygórowaną. Cel jest ten, że tam, gdzie jest żyd właścicielem tam żaden sklep polski ostać się nie może".

Ton rzewnego biadania, jaki w powyższej informacji przebija jest wcale nie na miejscu. Miast ubolewania po niewczasie i żywić niechęć do żydów za ich zupełnie naturalne przestrzeganie interesu własnego, obywatele włocławscy mieli wszelką możność utrzymania swych posiadłości w ręku. Obarczanie żydow odpowiedzialnością winy za to, że polacy nie posiadają w dość wysokim stopniu poczucia obywatelskiego i narodowego, jest jednym z najbardziej niesmacznych sposobów bronienia sprawy ojczystej. Kiedyż nareszcie naporowi cudzej „zabiegliwości" przeciwstawiać zaczniemy,—nie skargi płaczliwe i niemowlęce żale, ale szańce własnej pracy, własnej zabiegliwości.

* Ostatni *Głos Podlasia* w rubryce *Wolna Trybuna* wspomina ze słuszną goryczą miniony okres moralnego teroru, w którym celował obóz „dem. narodowy".

Nie ujmując naszemu przedstawicielstwu, musimy jednak stwierdzić, że bez wrzaskliwej i narzucające się agitacji partyjnej wybralibyśmy do pierwszej Dumy może ludzi nie lepszych, lecz przedewszystkiem innych. Tymczasem postawiono tam na wysokim piedestale sztucznie rozdęte wielkości, o których nic dotąd nie wiedzieliśmy. Do przedstawicielstwa narodowego szła droga nie przez ogólne uznanie, wybitne zdolności i zasługi narodowe, lecz przez wązką i nie zawsze pachnącą ścieżką partyjną.

To też rezultaty wyborów były dla ogółu niespodzianką i o ludziach, uznanych godnymi prezentowania Ojczyzny, ogół dowiadywał się po wyborach, nic przedtem o nich nie wiedząc.

Mając na względzie karność partyjną i utożsamiając cele partyjne z potrzebami Narodu, obrzucano błotem i pluto na ludzi zacnych, uczciwych, szlachetnych, mających nieszczęście, przez ogólne uznanie, stać się współzawodnikami partji przy wyborach. Jeżeli zaś drogą kompromisów, przez różne fuzje powoływano tych samych ludzi, wtedy klęcząc, ścierano skwapliwie to błoto i ślinę...

Ohydny i upokarzający widok!

* Czynniki wyznaniowe grają olbrzymią rolę w polityce rosyjskiej; klerykalizm prawosławny zwłaszcza na kresach wysuwa się na plan pierwszy. *Kurjer Warszawski* z tego powodu takie stawia pytanie:

Zrozumiałą jest dziś rzeczą walka bezwyznaniowości lub kompletnego indeferentyzmu z wpływem tej lub owej religji, tego lub owego kościoła. Widowni takich zmagań się nie braknie. Widownią taką jest Francja, jest Hiszpanja, są do pewnego stopnia tegoczesne Włochy. Ale gdzież znaleźć już dziś zmaganie się z sobą, nawet zacięte, dwóch wyznań, wyznań chrześcijańskich—poza granicami Rosji?

Czy dlatego, że stoją w granicach państwa rosyjskiego naprzeciw siebie: prawosławie i katolicyzm, i nie mogą uniknąć starć i nieporozumień? Czy dlatego, że w Rosji prawosławnej aż roi się od sekt najrozmaitszych? Powód to żaden; żadna to przyczyna. Żyją przecie pod jednym dachem w Niemczech: rzymski katolicyzm i protestantyzm —a w zgodzie niemal wzorowej. W Anglji sekt nie braknie, a nie słychać zgoła, aby toczyły „walkę" z sobą. Wszędzie dziś zresztą w krajach szczycących się cywilizacją i kulturą, uważany jest prozelityzm wyznaniowy za sprawę czysto wewnętrzną danego wyznania, nie wymagającą interwencji—państwa.

W Rosji wciąż jeszcze „kwestja wyznaniowa" zejść nie może z gruntu: bronienia religji prawosławnej wobec „zaborczości" religji rzymsko-katolickiej, a z drugiej strony werbowania dla prawosławja „owieczek" z pośród zastępów rzymskich katolików. Zdawałoby się istotnie, iż... losy Rosji zależą od posunięcia na korzyść prawosławia... danych statystycznych. Zdawałoby się, że niewiedzieć jak wyszukana pomyślność spłynie na całokształt państwa rosyjskiego jeżeli gdzieś w zapadłym zakątku którejś gubernji urzędowa statystyka wykaże: przewagę liczebną prawosławnych nad katolikami, lub choćby pokaźny procent wyznawców religji panującej.

Gdy ks. Palmieri w dziele swym „Chiesa Russa" dowodził, iż polacy stanowią wielką przeszkodę—w nawróceniu (na katolicyzm) Rosji, rozumiemy doskonale, iż ks. Palmieremu nie chodziło nic a nic o dobro państwa rosyjskiego, jeno o rozszerzenie aż po Ural, a choćby poza Ural panowania Watykanu. Ks. Palmieri, albo ulegał fatalnemu omamieniu, albo zdawało mu się, że oczerniając polaków, zaskarbi sobie benewolencję rosjan, którzy łatwiej dadzą się nawrócić tym, co gotowi są choćby zetrzeć z oblicza ziemi narodowość polską, byle zapanował po Ural Kościół powszechny katolicki, mający Głowę swą widomą nad Tybrem.

W następstwie tych uwag i refleksji dochodzi *Kurjer Warszawski* do arcy słusznego wniosku, że nie należy nigdy łączyć motywów religijnych i narodowych, bo to wyłącza spokojne współżycie społeczeństw chrześcijańskich.

Wskutek bowiem łączenia tych dwóch motywów „wielkie naprawdę idee religijne, oraz wielkie idee tolerancyjne, stanowiące przednią zdobycz społeczeństw cywilizowanych gruntu dla siebie w Rosji znaleźć nie mogą. Na gruncie bowiem zachwaszczonym nacjonalizmem. zamiera wszelkie kiełkowanie szerszych, wzniosłych, dobroczynnych ideałów".

Nie wiadomo, czy kierownicy kurjerka zdają sobie sprawę, że z wyłożonych tu poglądów wypływa logicznie: rozdział kościoła od państwa, odróżnienie religji od narodowości, potępienie ambitnych planów Kurji na wschodzie europejskim, wreszcie potępienie własnej *Kurjera Warszawskiego* taktyki oszczerstw i szykan względem Marjawitów, odsądzonych od czci i polskości za niewiarę w nieomylność Papieża i wprowadzenie polskiej liturgji.

KRONIKA.

TANIEC MILJONÓW. *Nauticus*, coroczne wydawnictwo niemieckie, stanowiące w Europie najpoważniejsze źródło wiadomości z dziedziny marynarki, podaje w ostatnio wypuszczonym zeszycie najświeższe cyfry ze stanu sił morskich znaczniejszych mocarstw. Przedewszystkiem autor zaznacza nadzwyczaj szybki przyrost bojowej siły marynarki Niemiec, której cyfry niedwie co pare miesięcy zmieniają się idąc w górę. Tak np. niema jeszcze pół roku temu, wojenna flota niemiecka zajmowała trzecie miejsce (po Anglji i Ameryce), dziś zaś, po wzmocnieniu swej eskadry czterema pancernikami, zajmuje już drugie, czyli idzie zaraz po angielskiej.

Poglądowy wykaz stanu wojenno-morskiego Europy w chwili obecnej, przedstawiają następujące cyfry:

Budżety marynarki.

Anglja	906	mil. mrk.
Stany Zjedn.	535	„ „
Niemcy	450	„ „
Francja	333	„ „
Rosja	238	„ „
Japonja	180	„ „
Włochy	156	„ „
Austro-Węgry	105	„ „

PROJEKT „WIELKIEJ WARSZAWY". Starszy inżynier miasta złożył p. prezydentowi obszerny memorjał, uzasadniający konieczność powołania komisji specjalnej w sprawie opracowania warunków przygotowania ogólnego planu miasta, oraz opracowania szczegółów konkursu na połączenie ewentualne obecnej Warszawy z przedmieściami.

Praca ta zmierzająca do ujednostajnienia wytykania linji zabudowań i rozmieszczania przyszłych gmachów publicznych, na wzór planów, istniejących dla wszystkich miast europejskich, jest nader pilna, a dla normalnego rozwoju i przyszłości Warszawy ma znaczenie pierwszorzędne; wystarczy choćby wspomnieć donosłość dla spraw miejskich niedawno uwieczonego zupełnem powodzeniem konkursu na „Wielki Kraków". Tymczasem zachodzi obawa, że magistrat sprawę tę, jako wkraczającą w dziedzinę zadań ogólnej natury, odłoży *ad acta* — czyli do ewentualnego wprowadzenia samorządu. Mamy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie wobec doniosłości sprawy,

Na razie prace przygotowawcze ograniczyłyby się do narad komisji specjalnej z udziałem kompetentnych obywateli i przedstawicieli inżynierji miejskiej i rozumie się, nie wywołałyby wydadków. Powołanie takiej komisji znakomicie ułatwi zadania inżynierji miejskiej w sprawie wyznaczania nowych ulic i umożliwi zebranie obfitego materjału przygotowawczo-informacyjnego.

LUDNOŚĆ MIAST GALICJI. Dane statystyczne, zaczerpnięte z wykazów ostatniego spisu ludności, a obejmujące wyniki spisu, odnośnie do ludności miejskiej, przytaczają pisma galicyjskie. Należy przytym zauważyć, że nie wszystkie liczby te dotyczą miast, gdyż istnieją większe skupienia ludności w Galicji, tak samo jak i w Królestwie, które do rzędu miast nie należą jeszcze.

Statystyka ta w ogólnych liczbach przedstawia się, jak następuje:

Skupień, liczących przeszło 10 tysięcy ludzi, w dniu 31 grudnia 1910 r. było ogółem w Galicji 39, a mianowicie:

Lwów 207 tysięcy ludności, Kraków 154, Przemyśl 54, Kołomyja 41, Tarnów 37, Drohobycz 36, Tarnopol 34 Stanisławów 33, Stryj 30, Rzeszów 27, Jarosław 25, Nowy Sącz 52, Podgórze 22, Sambor 20, Brody 18, Buczacz 14, Brzeżany 13, Jaworzno gmina w Chrzanowskiem 13, Borysław 13, Grodek Jagielloński 13, Złoczów 13, Chrzanów 12, Zamarstynów 12, Sniatyń 12, Sokal 12, Lipnik 11, Bochnia 11, Horodeoka 11, Sanok 11, Turka 11, Dolina 10, Jasło 10, Jaworów 10, Oświęcin 19, Kamionka Wołoska 10, Rawa Ruska 10, Tyśmienica 10, Zbaraż 10.

Liczba powyższych skupień nieco się zmniejszy, skupienia zaś same wzrosną, jeśli uwzględniać będziemy nieposzczególnie wymieniane gminy administracyjne, lecz skupienia, faktycznie stanowiące jedną całość. Wówczas okaże się, że Kraków i Podgórze stanowią właściwie jedno skupienie z ludnością 176 tysięcy; to samo dotyczy Lwowa i Zamarstynowa z ludnością 219 tysięcy; Stanisławowa i Knihinina wsi, która jest jego przedmieściem, z ludnością 50 tysięcy.

Jak widzimy przeto, miast z ludnością, przenoszących 100 tysięcy, jest w Galicji 2, z ludnością przenoszącą 50 tysięay 4,(z ludnością przenoszącą 40 tysięcy 5 (jeszcze Kołomyja); z ludnością przenoszącą 30 tysięcy 9, z ludnością przenoszącą 20 tysięcy 15.

Jeśli porównamy te liczby z datami z czasów dawniejszych, to okaże się, że liczba wielkich miast w Galicji kolosalnie wzrasta. Naprzykład miast z ludnością liczącą przeszło 20 tysięcy, było: w roku 1857 — 2 (Lwów i Kraków) w r. 1868 — 5; w r. 1880 — 7, w r. 1890 — 7, w r, 1900 — 9, w r. 1910 — 15.

Miast z ludnością przeszło 10-tysięczną w latach powyższych było: w roku 1857 — 9, w r. 1869 — 13, w r. 1880 — 19, w r. 1890 — 22, w r. 1910 — 39.

Jak widzimy przeto, liczba miast większych w ciągu ostatniego piędziesięciolecia bardzo się podniosła. Kraków w roku 1857 liczył właśnie tyle ludności, ile dziś liczy Kołomyja (41 tysięcy), Lwów w roku 1856 (70 tysięcy) niewiele był większy od dzisiejszego Przemyśla.

NEKROLOGJA. W Paryżu zmarł profesor „College de France", członek Instytutu Emil Levasseur, w sędziwym wieku. 83 lat. Levasseur był słynnym ekonomistą, geografem i statystykiem.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Hymny i zgrzyty. — ODCINEK: Lucaniolo, przez F. Arnsztajnową (dokończenie) - Walka o ziemię (d. n.) — Listy z Galicji, Ludwika Kulczyckiego. — Rewizje, przez Zenona Piętkiewicza. — Święta obłuda, przez W. Rzymowskiego. — BADANIA NAUKOWE: Człowiek i cywilizacja, przez Dr. Stefana Sterlinga. — KRYTYKA: Stanisław Birmy-Dróbecki: Fartuszek, przez St. Kiedrzyńskiego. — NA DOBIE: Ostatnie motu proprio — Heroizm niewoli. - Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA:— Ofiary.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.